
GŁOSY

PODOLAN



Nr 148

MAJ - CZERWIEC

2018 r.



BIULETYN KLUBU "PODOLE" TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW PŁD. WSCHODNICH W WARSZAWIE

“Głosy Podolan”

Biuletyn Klubu “PODOLE” Stołecznego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Zespół Redakcyjny:

Irena Kotowicz Redaktor Naczelny, oraz członkowie redakcji

ISSN 1507-9996

Adres Redakcji:

*Irena Kotowicz
ul. Narbutta 37 m 11
02-536 Warszawa
tel. (022) 849-87-58*

Adres mejlowy : igor_mode@wp.pl

Konto bankowe:

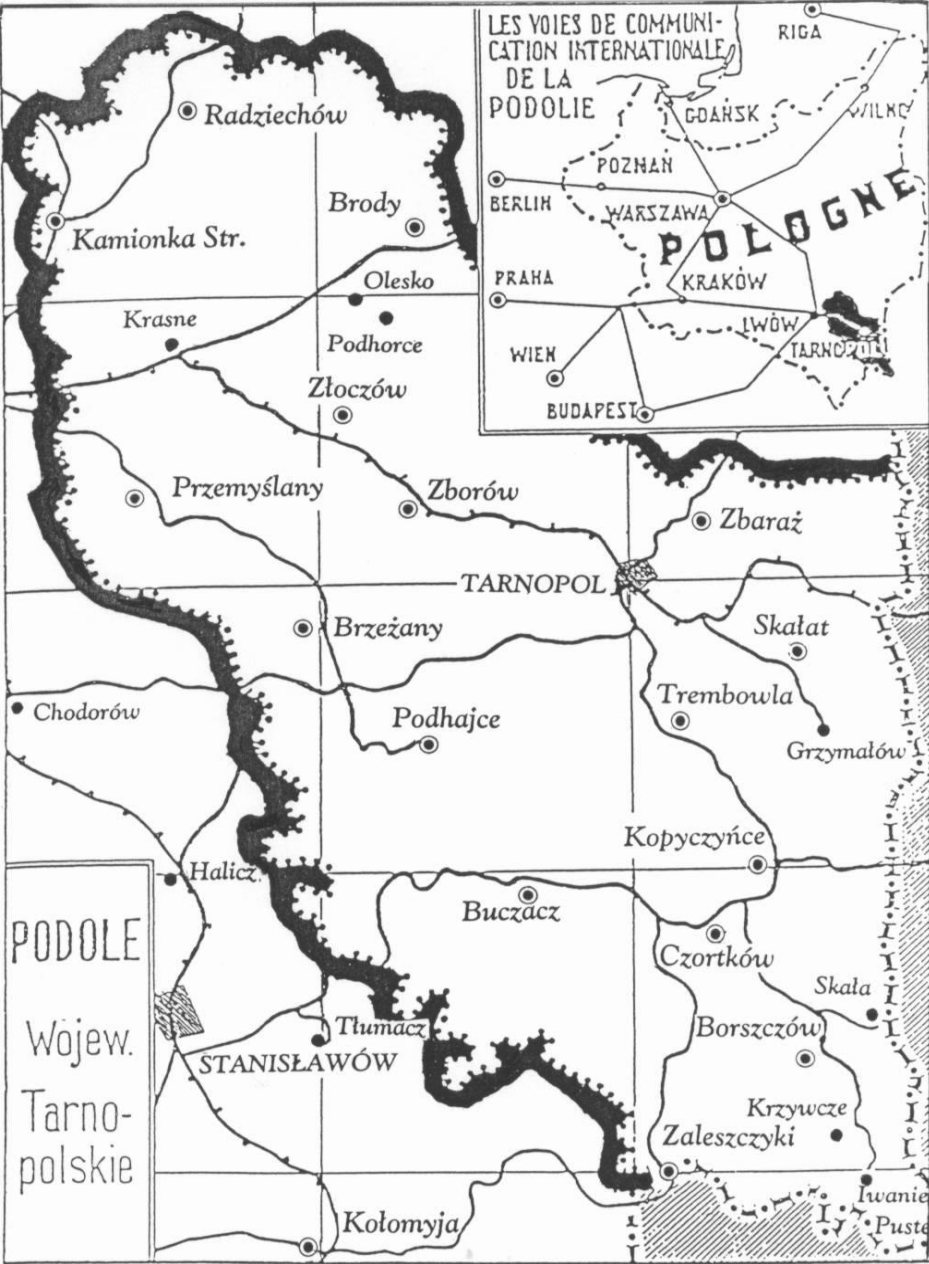
*Klub “Podole” TML i KPW
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64
PKO BP VI O/Warszawa
Nr 87 1020 1068 0000 1902 0060 9651*

*Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i
adiustacji nadesłanych tekstów.*

Na okładce: *Plk Przemysław Nakoniecznikoff 1896-1957- oficer
KOP, Cichociemny, d-ca Krakowskiego okręgu AK, więzień łagrów*

SPIS TREŚCI

| | |
|--|-------|
| Słowo od redakcji..... | 1-2 |
| Robert SZCZERKOWSKI Płk Przemysław Nakoniecznikoff- Cichociemny i ostatni Komendant Krakowskiego Okręgu Armii Krajowej..... | 3-10 |
| Mila SANDBERG-MESNER Światło w mroku. wspomnienia- część IX..... | 10-16 |
| Jerzy BESKI Moje Podole-Wspomnienia- część IV..... | 17-26 |
| Igor MEGGER Moje rodzinne wspomnienia z Podola..... | 27-38 |
| Józef WYSOCZAŃSKI Wspomnienia zesłańca Sybiru- część I..... | 39-45 |
| Igor MEGGER XXXIII Koleżeński zjazd Tarnopolan.6.2019...45-48 | |
| Igor MEGGER Ksiądz Ludwik Peciak z Kołomyi „Sprawiedliwy” niesprawiedliwie zapomniany..... | 49-51 |
| Eugeniusz ŚWIĄTKOWSKI Piosenka o Czortkowie..... | 52 |



Słowo od redakcji

Po 25 latach (1993-2018) redagowania i wydawania „Głosów Podolan”- nastąpiła katastrofa. Zabrakło w klubie „Podole” Oddziału stołecznego TML ludzi zainteresowanych kontynuacją wydawnictwa.

W ciągu dwóch lat zmarło kilkoro członków klubu, właśnie tych najbardziej zaangażowanych w działalność. Klub nieoczekiwanie skurczył się do 12 członków, którzy też nieregularnie zjawiali się na spotkaniach. Przeszkodę stanowiły wizyty u lekarzy lub rehabilitacja. Ja również byłam niesprawna po wypadku, do dziś poruszam się poza domem tylko taksówkami.

Załamalam się psychicznie po trzech kolejnych „niespodziankach”. Nadszedł b. oficjalny list od P. Prof. Barczyka o skreślenie jego nazwiska z zespołu redakcyjnego w biuletynie i jako członka klubu z powodu pogorszenia się stanu zdrowia.

Potem nieoczekiwanie odezwała się drukarnia, że nakład dwóch numerów (146 i 147) czeka już gotowy na odbiór.

Kolejną niespodzianką była przykra przesyłka od kol. Jerzego Stopy, który zajmował się techniczną stroną przygotowania biuletynu do druku. Przesyłkę wyjaśniała krótka informacja, którą tu przepisuje: „*Irenko, zwracam niewykorzystany materiał i fotografię, nie mam już żadnych innych Twoich rzeczy u siebie, nie będę więcej pisał*”. Znaczyło to, że nie będzie więcej zajmował się biuletynem. Wszystko to razem wytrąciło mnie bardzo z równowagi.

Pojechałam z moją opiekunką do drukarni, odebrałam 500 egzemplarzy, które kierowca taksówki pomógł wnieść na piętro do mojego mieszkania.

Potem opiekunka pomogła mi zapakować biuletyny do kopert, nakleić znaczki i odniosła na pocztę.

O zdrowotnych skutkach mojego stresu nie będę pisać.

Minał rok. Postanowiłam wydać brakujące jeszcze cztery numery za rok 2018, ponieważ prenumeratorzy mają na koncie wcześniej wpłacone pieniądze.

Pomogą mi w tym życzliwi ludzie spoza warszawskiego klubu. Z Poznania (komputer) i z Wrocławia (drukarnia). Już wkrótce nr 148 (po zrobionej przeze mnie korekcie) pojedzie droga elektroniczną do drukarni. Przygotowuje kolejny nr 149. Najbardziej kłopotliwe jest pisanie odręcznie. Maszyny do pisania nie można wykorzystać z powodu braku w sprzedaży taśm do maszyny, z której korzystałam przez tyle lat.

Naszych wiernych prenumeratorów przepraszam za przerwę- wywołaną przedstawionymi tu „niespodziankami”.

Proszę też o podanie mi aktualnych numerów telefonu, bo wiele osób zamieniło stacjonarne telefony na komórkowe

Irena Kotowicz

Robert Szczerkowski
Wrocław

Płk Przemysław Nakoniecznikoff- Cichociemny i ostatni Komendant Krakowskiego Okręgu Armii Krajowej

Urodził się w Tyflisie (obecnie Tbilisi, stolica Gruzji) 13 czerwca 1896 roku (według obowiązującego kalendarza gregoriańskiego). Zgodnie z kalendarzem juliańskim był to dzień 1 czerwca 1896 r.

Był synem Franciszka i Elżbiety z Klukowskich, a bratem stryjecznym i ciotecznym Bronisława, Bolesława i Stanisława Nakoniecznikoff.

W 1909 roku za udział w strajku szkolnym był aresztowany i wydalony z gimnazjum. Potem uczył się w Tyfliskiej Szkole Handlowej, gdzie zdał maturę w 1913 roku.

Pod pseudonimem „Dzejran” działał w utajnym Związku Strzeleckim przy „Domu Polskim” w Tyflisie.

13 sierpnia 1915 r. powołany został do armii Rosji carskiej, gdzie dosłużył się stopnia podporucznika (w 1917 r.). Ukończył kurs KM w Tyfliskiej Szkole Wojskowej na przełomie lat 1915/1916 i kurs opancerzonych pojazdów samochodowych w 1918 r.

Walczył na froncie kaukaskim i perskim. Za męstwo odznaczony został Orderem św. Stanisława III klasy oraz św. Anny III klasy, oba z kokardą i mieczem.

W miesiącach II-IX 1918 służył w Pierwszym Polskim Pułku Piechoty na Kaukazie, jako młodszy oficer. Od 12.X.1918 roku w 4 DP gen. Lucjana Żeligowskiego, sprawując obowiązki d-cy kompani KM w 13 pp. a później w 28 pp.

22 maja 1920 r. w walce z bolszewikami pod Gołbiją (była to wieś Gołbie w pow. Dżisna) został ciężko ranny- stracił prawe oko. Do pułku wrócił 8 sierpnia.

W latach 1920-1925 pełnił w 28 pp obowiązki dowódcy kompani broni specjalnej, d-cy baonu sztabowego i d-cy III baonu

(kpt. 1919),(mjr 1929), następnie był kwatermistrzem pułku. Od 1928 roku był kierownikiem Urzędu WF i PW Dowództwa Okręgu Korpusu nr X.

W 1935 roku ukończył kurs dowódców pp. Od połowy listopada 1936 r, d-ca 63 pp. 21 IV 1937 r. objął funkcję z-cy d-cy Brygady Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP „Podole” w Czortkowie).

W dniach 27 VIII-10 IX 1939 r. dowodził 163 rez. pp., który walczył w składzie 36 Rez. Dywizji Piechoty, działający w ramach Zgrupowania Południowego Armii „Prusy”.

Szlak bojowy pułku wiódł przez Kielecczyznę, od Rudy Malenickiej do wsi Okół w gminie Bałtów. Tam pułk stoczył bardzo krwawe i zażarte walki z Niemcami pod KAZANOWEM (7 IX) i przy przejściu drogi Szydłowiec- Skarżysko-Kamienna, w okolicach leśniczówki BARAK (8 IX). Po rozwiązaniu pułku 10 września 1939 roku płk Nakoniecznikoff dołączył do innych polskich oddziałów walczących z Niemcami pod Józefowem nad Wisłą, Hrubieszowem i Kamionką Strumiłową.

W dniach 2-10 X przebywał w niewoli sowieckiej. Po ucieczce z niej 10 X 1939 r. pozostaje w Konspiracji, ewakuuje się z okupowanej Polski na Węgry, gdzie przebywa do 20 IV 1940 roku. Później udaje się na Środkowy Wschód.

W okresie IX-XII 1940 r. Przemysław Nakoniecznikoff jest d-cą baonu 1 Brygady Strzelców Karpackich, a od maja 1942 r. d-cą baonu oficerskiego w Palestynie, następnie d-cą ćwiczebnego baonu 1 Brygady Strzelców Karpackich, a od maja 1942 r. d-cą baonu 3 Dywizji Strzelców Karpackich.

W 1942 roku ukończył angielski kurs wyższych dowódców. W październiku 1942 r. zostaje z-cą dowódcy 2 Brygady 3 DSK, a od kwietnia 1943 r. jej dowódcą.

W 1943 r. ukończył angielski kurs dowódców brygady w Palestynie. Od 10 XII 1943r. do 15 I 1944 r. był na kursie w ośrodku wyszkolenia nr 10 „IMPUDENT” dla cichociemnych w skończonych budynkach sanatorium w Ostruni, pomiędzy Bari i Brindisi w południowo- wschodnich Włoszech.

Po przygotowaniu w tzw. stacji wyczekiwania , 21 IX 1944 r. wylatuje wraz z pięcioma innymi cichociemnymi samolotem Liberator, z lotniska Campo Cassle koło Brindisi do okupowanego kraju. 22 IX około godz. 1.00 w nocy cichociemny (od 22 IX 1944 roku już pułkownik) ląduje udanie na spadochronie w okolicach CZARYŻA w pow. Włoszczowskim (Świętokrzyskie) na terenie zrzutowiska przygotowanego przez placówkę odbiorczą ROZMARYN AK.

Spośród 316 cichociemnych zrzuconych do okupowanej Polski, należał on do najstarszych wiekiem i stopniem wojskowym.

W zgrupowaniu partyzanckim 7 DP AK przebywał do 28 X- nie pełniąc żadnej funkcji. Wykorzystywał czas na aklimatyzację i zapoznanie się z pracą konspiracyjną.

Stamtąd, na rozkaz Komendanta Głównego AK gen. brygady Leopolda Okulickiego, odchodzi na stanowisko komendanta Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej, w związku z aresztowaniem przez Niemców płk Edwarda Godlewskiego ps. „Garda”, dotychczasowego komendanta.

Płk Przemysław Nakoniecznikoff używał pseudonimów : „Kruk dwa”, „Błyskawica dwa” i „Garda”.

Zamieszkał w Krakowie przy ul. św. Tomasza 22/15. Oficjalnie był zatrudniony w firmie „Bober” jako buchalter. W swoim fałszywym życiorysie podawał, że ma niedokończone studia prawnicze.

19 stycznia 1945 r. formalnie rozwiązał AK na terenie swojego okręgu, sam zaś pozostawał w konspiracji i działał na rzecz ochrony sztabów, kadry i broni akowskiej.

20 IV został aresztowany w swoim mieszkaniu przez grupę operacyjną złożoną z funkcjonariuszy NKWD i „Smersz” 4 frontu ukraińskiego, którzy już dokładnie wiedzieli z kim mają do czynienia¹. Początkowo osadzony został w więzieniu krakowskim na

¹ „Zator”- Przytocki Jozef- „Pamiętniki”, Wrocław 1987 r. str.64 podaje, że jeden z enkawudzistów zaglądał pułkownikowi w oczy, aby zobaczyć jego szklane oko. Na tej samej stronie autor błędnie podaje datę aresztowania pułkownika na dzień 22 IV 1948 r.

Montelupich, gdzie go przesłuchiowano i torturowano, a od 29 IV w więzieniu Butyrki w Moskwie.

Jego aresztowanie i pobyt w ZSRR zrekonstruowane zostało na podstawie akt karno-śledczych będących w CAW². Z akt tych wynika że nazywa się Przemysław Bolesław Nakoniecznikoff, a urodził się w Warszawie, co było niezgodne ze stanem faktycznym. Trzeba podkreślić, że od tego czasu aż do końca życia podawał Warszawę za miejsce swego urodzenia. Robił to prawdopodobnie w obawie przed gorszym traktowaniem go jako obywatela ZSRR, gdyby zgodnie z prawdą podał miasto Tyflis.

Kiedy uwięziony był w Moskwie, kolegium specjalne przy NKWD ZSRR, taki sowiecki quasi sąd, skazał go w trybie zaocznym 12 listopada 1945 r. z art. 58 pkt.6, art. 58 pkt.11 Kodeksu Karnego ZSRR „Za udział w antysowieckiej organizacji Armii krajowej” i szpiegostwo na 10 lat więzienia. Początek kary policzono mu od 11 czerwca 1945 r. a koniec na 11 czerwca 1955 r. Do odbytej kary nie zaliczono mu pierwszych miesięcy aresztowania.

6 stycznia 1946 r. wywieziony został z Butyrek do Tiemłagru, a 23 maja 1949 r. przeniesiony do Dubrawłagru, w którym przebywał do końca zasądzonej kary. Z powodu złego stanu zdrowia miał drugą kategorię pracy fizycznej. Za wykonaną pracę w obozie skrócono mu karę do 30 stycznia 1955 r.

Przed wyjazdem z Dubrawłagru powiedział funkcjonariuszom NKWD, że chce jechać do matki swej zmarłej żony, mieszkającej w Łodzi-Radogoszczy.

Funkcjonariuszom służb specjalnych ZSRR przekazywał często nieprawdziwe dane dotyczące jego bliskich. Raz podał np. że żona Irena zmarła w 1939 roku, innym razem, że stało się to w 1942 r. w Łodzi, choć od swego syna dokładnie wiedział, że było zupełnie inaczej.

25 IV 1955 r. skierowano go do Mordwińskiej ASRR (stacja Potma) do spec-objektu nr 14 MSW ZSRR i stąd odtransportowano

² Kolekcja rosyjska, sygnatura :VIII.1803.1817.39216, kopia w archiwum autora opracowania

do Brześcia nad Bugiem, gdzie 27 IV przekazany został przedstawicielom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Nie udało mi się ustalić dokładnej daty powrotu pułkownika do Polski, mimo drobiazgowych poszukiwań w różnych archiwach. W tej sytuacji zakładam, że nastąpiło to dopiero po 27 kwietnia 1955 r.

Wersja przedstawiona przez Stanisława Piwowarskiego o tym, że Nakoniecznikoff wrócił do kraju w lecie 1955 r. i został odebrany z transportu przez Janinę Stabrawową na dworcu w Warszawie, a potem udał się z nią do Krakowa, gdzie zamieszkał pod starym adresem, czyli św. Tomasza 20/15 i podjął pracę w spółdzielni „Mikrokolor” przy ul. św. Anny 3- musi być przyjęta z dużą ostrożnością.

W życiorysie płk Nakoniecznikoffa sporządzonym przez Stanisława Piwowarskiego jest wiele błędów, uproszczeń, opuszczeń i nieścisłości. Nawet niektóre zamieszczone zdjęcia mają nieprawdziwy opis.

Z zachowanych w IPN śladowych ilości akt sprawy ewidencyjno-obserwacyjnej prowadzonej przez krakowski Urząd Bezpieczeństwa przeciwko Przemysławowi Nakoniecznikoff wiemy, że w Krakowie mieszkał przy ul. Solskiego 22 co najmniej od 20 IX 1956 r. aż do śmierci. W tym czasie był zatrudniony w chemiczno-farmaceutycznej spółdzielni pracy „Mikrokolor” przy ul. Bosackiej 5.

Pułkownik zmarł 17 sierpnia 1957 r. w Krakowie- na raka płuc i mózgu. Pochowany został na cmentarzu Rakowickim, a później zwłoki przeniesione zostały na cmentarz parafialny w Lubaczowie i złożone w grobowcu rodziny Mullerów.

Odnaczony był m.in. Virtuti Militari 5 klasy, Krzyżem Walecznych-trzykrotnie, Złotym Krzyżem Zasługi- dwukrotnie, srebrnym i brązowym, Medalem „za Długoletnią Służbę”, Medalem Niepodległości, Medalem 10-lecia, Medalem Wojska.

Z pierwszego małżeństwa z Irena Wiśniewską (ślub kościelny zawarty został 3 lipca 1923 (kserokopia w arch. autora) miał jedno dziecko Przemysława Wiktora- ur. 6 III 1925 r.

Żona i syn, po okupacji Ziemi wschodnich II RP 17 września 1939 r. przez Rosję Sowiecką, zostali deportowani z Czortkowa (w woj. Tarnopolskim) przez NKWD na zlecenie najwyższych władz ZSRR w lutym 1940 r. do Kazachstanu w obwodzie Semipałatyńskim.

Tam żona zmarła 24 IV 1941 r. w miejscowości Pieszczanka. Syn był obecny przy śmierci Matki i osobiście wykopał dla niej grób w skutej lodem ziemi.

Syn opuścił ZSRR z armią gen. Andersa. Z ojcem spotkał się w Palestynie. Przemysław-junior służył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Po wojnie skończył studia inżynierskie i w 1949 roku wyjechał do Argentyny, gdzie założył rodzinę i pracował z sukcesem w swoim zawodzie. Zmarł 7 kwietnia 2006 roku³.

Drugą żoną pułkownika była Jadwiga Bieleń, z domu Muller (1916-1959). Ślub cywilny zawarli w lutym 1957 r.

Pierwszym mężem Jadwigi był porucznik piechoty Mieczysław Bieleń, jeńiec obozu starobielskiego, zamordowany przez NKWD w Charkowie z tak zwanego rozkazu katyńskiego w 1940 r.

Także jej brat ppor. rez. Bolesław Muller był jeńcem tego obozu, również zamordowany w Charkowie.

Jadwiga Bieleń we wrześniu 1939 r. opuściła kraj, udała się na Węgry, a stamtąd na Bliski Wschód. Tam służyła w kobiecej formacji wojskowej PSK. Do Polski wróciła w 1947 roku i zamieszkała u swej siostry w Łomiankach pod Warszawą.

Po powrocie płk Nakoniecznikoffa do Polski, spotkała go podobno przypadkowo w warszawskim tramwaju. Po tym zdarzeniu oboje postanowili kontynuować swój uczuciowy związek nawiązany w Palestynie⁴.

Rada miejska w Lubaczowie, uchwałą z 25 września 2013 r. nadała jednej z ulic tego miasta nazwę gen. Przemysława Nakoniecznikoffa.

³ Wspomnienie o śp. Inż. Przemysławie Nakoniecznikoff-Klukowskim znajdują czytelnicy w „Głosach Podolan” nr 80, styczeń-luty 2007, str. 50-51.

⁴ Informacje o Jadwidze Bieleń oparłem na relacjach jej siostrzenicy p. Jadwigi Letki, z września i listopada 2017.

W tej sprawie napisałem list do burmistrza Lubaczowa p. Krzysztofa Szpyta. W pierwszej kolejności zwróciłem uwagę na to, że Przemysław Nakonecznikoff dosłużył się stopnia pułkownika, i związku z tym sugerowałem p. Burmistrzowi zmianę nazwy ulicy uwzględniającą prawdziwy stopień wojskowy zmarłego. Ale bardziej jeszcze zachęcałem go, by wystąpił oficjalnie do obecnego Prezydenta RP Andrzeja Dudy z wnioskiem o pośmiertne nadanie płk Przemysławowi Nakonecznikoff stopnia Generała Brygady, na co moim zdaniem zasłużył swą nieugiętą walką i męczeństwem dla niepodległości naszego państwa. Ta nominacja byłaby jedynie symbolicznym podziękowaniem za długie lata pełne poświęcenia w służbie dla ojczyzny.

Na zakończenie trzeba jeszcze wyjaśnić, że płk Nakonecznikoff nigdy nie używał dwuczłonowego nazwiska Nakonecznikoff-Klukowski. Świadczą o tym jego akta personalne przechowywane w CAW, akta małżeńskie, dokumenty wojskowe w Archiwum Straży Granicznej, Roczniki Oficerskie.

Pierwszą osobą, która wprowadziła do obiegu naukowego to podwójne nazwisko, był nieżyjący już Piotr Stawecki. Użył go w biografii pułkownika, opublikowanym później w Polskim Słowniku Biograficznym, tom XXII z 1977 roku.

Potem wielu autorów podawało błędnie za nim to niewłaściwe pisane nazwisko. Błąd ten niestety znajdziemy w wielu pracach.

Wzmiankę o stryjecznych braciach Przemysława uzupełniam poniżej informacjami z dokumentów.

Bronisław (1888-1962) płk lekarz, działacz niepodległościowy w II RP. Wojewoda stanisławowski, lwowski, warszawski. Podsekretarz stanu w prezydium Rady Ministrów.

Bolesław (1891-1968) w II RP dyrektor Urzędu emigracyjnego w latach 30-tych XX wieku.

Stanisław (1898-1944) płk NSZ ps. „Kmicic”. Mianowany w Częstochowie 18 listopada 1944 r. Komendantem Głównych Narodowych Sił Zbrojnych i tego samego dnia zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach.

Łagry, w których przebywał płk Przemysław Nakonecznikoff:

Tiemłag (Tiemnikowskij ITŁ)- zlokalizowany w rejonie tiemnikowskim, w obwodzie Mordwińskim, w kraju środkowowółżańskim.

Dubrawłag (Dubrawnyj Łagier) - osiedle JAWAS w rejonie Zubowo-polańskim, w Mordowińskiej ASRR⁵

Mila Sandberg-Mesner

ŚWIATŁO W MROKU KOŁOMYJA -część IX

Kołomyja była miastem gdzie nasza rodzina spędziła dwa burzliwe lata 1940-1942.

Zabrałam moją rodzinę i gości na obchód. Najpierw pokazałam im dom, w którym mieszkała moja siostra Ziuta i w którym urodziła się jej córka Anusia, matka Michaela. W roku 1940 nasza rodzina schroniła się tutaj po opuszczeniu domu w Zaleszczykach. Mieszkaliśmy do lutego 1942 roku, kiedy Niemcy kazali nam wyprowadzić się do getta.

Następnie poszliśmy do szkoły, do której uczęszczałam w latach 1940-1941. W drodze minęliśmy kościół parafialny, którego proboszczem był ksiądz prałat Ludwik Peciak. W tym kościele ks. Peciak sporządził wiele kopii metryk urodzenia i chrztu, właśnie tu został aresztowany i wysłany do obozu koncentracyjnego w Majdanku, gdzie zginął śmiercią męczeńską.

Dotarliśmy do mojej szkoły, gdzie ofiarowałam kilka egzemplarzy mojej książki dla szkolnej biblioteki. Rozmawialiśmy z na-

⁵ Opisy obu tych łagrów w : „Łagry”- przewodnik encyklopedyczny, Warszawa 1998 r.

uczycielami-zapytałam, czy byłoby możliwe otrzymanie imiennej listy uczniów, który uczęszczali do mojej klasy maturalnej wiosną 1941 roku. Nie odmówiono mi, ale dotychczas nie otrzymałam tej listy.

Wszyscy maturzyści AD 1941 pochodzenia żydowskiego zginęli w czasie zagłady. To byli utalentowani młodzi ludzie, których życie zostało brutalnie przerwane. Nie wiem jak umarli, ale wiem że nie przeżyli.

Następnie poszliśmy w kierunku getta, gdzie mieszkałam z rodziną przez kilka miesięcy. W miejscu gdzie było getto, pozostało w ruinach kilka budynków. Poszliśmy w dół ulicą Wałową-naszym ostatnim szlakiem z getta do stacji kolejowej, gdzie 10 października 1942 roku czekały na nas bydlęce wagony, aby zawieść nas do obozu zagłady w Bełżcu. Pozostało nam jeszcze tylko jedno miejsce do odwiedzenia- las w Szeparowcach, miejsce w którym zamordowano tysiące ludzi z Kołomyi i okolic. W tym lesie, w listopadzie 1941 r. został zabity mój ukochany przyjaciel Jonek Miller. W tej spokojnej okolicy ujrzeliśmy mały, zaniedbany pomnik pełen dziur niewiadomego pochodzenia. Moje myśli pobiegły do mego drogiego Jonka i przypomniałam sobie ostatnie słowa, które mi powiedział :”Kiedy Cie znów zobaczę, Mila?”. Kilka dni po naszym ostatnim spotkaniu został zamordowany.

W Kołomyi pożegnaliśmy naszych przyjaciół Wasyla i Annę oraz ich wnuka Artura. Nasz zaprzyjaźniony kierowca Siergiej czekał, aby nas zawieść do Lwowa.

W roku 2012 została wydana w Czerniowcach w Języku angielskim książeczka mojego autorstwa „By the Ways of my Youth” („Drogami mojej młodości”) bogato ilustrowana zdjęciami, z tłumaczeniem na język ukraiński. Stanowi ona podsumowanie wydarzeń z kwietnia 2011 roku. Fragmenty tej publikacji w polskim tłumaczeniu zostały umieszczone w powyższym tekście.

Grażyna Thiel

Znałam tylko jej imię, nazwisko i przybliżoną datę urodzenia- wiedziałam, że urodziła się tuż przed wybuchem wojny. Pamięć

tam opowieści Albina o małej córce, którą nosił „na barana” - o rączkach obejmujących go za szyję.

Przez bez mała 60 lata usiłowałam ją odnaleźć- szukałam w książkach telefonicznych, biuletynach itp. Oczywiście szukałam Grażyny Thiel. Bez rezultatu.

Kiedy w maju 2011 roku pojechaliśmy z mężem do Izraela, postanowiłam znaleźć drzewko pamiątkowe zasadzone przez moją kuzynkę Jasię w ogrodzie Yad Vashem na cześć Albina Thiela. Tuż po wojnie prosiłam bowiem Jasię, która mieszkała w Izraelu, żeby zasadziła drzewko dla Albina-zapewniła mnie, że sprawa jest załatwiona. Ku memu ogromnemu rozczarowaniu okazało się, że drzewko nie istnieje, że w Izraelu niema śladu o człowieku, który z narażeniem własnego życia ocalił od zagłady trzy młode kobiety.

Przystąpiłam do działania-nawiązałam kontakt z Yad Vashem, gdzie dowiedziałam się, jakie formalności należy spełnić, aby w Ogrodzie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata zasadzono drzewko z imienną tablicą poświęconą komuś, kto bezinteresownie narażał własne życie, aby ratować od zagłady swoich żydowskich braci. Albin spełniał wszelkie warunki, aby otrzymać odznaczenie, ale należało przedtem zgromadzić odpowiednią dokumentację.

Zeznałam wszystko, co było mi wiadome, wspominałam przy tym o córce Albina, której nie udało mi się odnaleźć, złożyłam odpowiednie podanie. Sprawa została zarejestrowana. Po powrocie do domu ze zdwojoną energią kontynuowałam poszukiwania. W Internecie udało mi się znaleźć w Polsce dwie osoby o nazwisku Grażyna Thiel, zbliżone wiekiem do przypuszczalnego wieku córki Albina. Jedną z nich była charakteryzatorką we Wytwórni Filmów fabularnych w Łodzi, odznaczona orderem Orła Białego. Inna Grażyna Thiel z Poznania która również nie była córką Albina, wyraziła ogromny żal, że nie jest osobą, o którą mi chodziło.

Pewnego dnia kiedy już zupełnie straciłam nadzieje na odnalezienie Grażyny, zadzwoniła do mnie Pani Ewa Rudnik, dyrektor Departamentu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przy Ambasadzie Izraela w Warszawie. Zapytała mnie czy nadal mówię po polsku?

Kiedy potwierdziłam, podała mi numer telefonu, pod którym mogę porozmawiać z ... Grażyną Thiel! Nie zwlekając ani chwili, zadzwoniłam pod podany numer i zaczęła się nasza długa, serdeczna rozmowa-pierwsza z serii niezliczonych rozmów. Grażyna okazała się miłą, ciepłą, serdeczną osobą-od pierwszego słowa przypadliśmy sobie do serca. Jesteśmy w stałym kontakcie. Grażyna Madejska mieszka w Katowicach, była żoną znanego chirurga ortopedy Tadeusza Madejskiego- niedawno owdowiała i straciła jedyne go syna Jacka, który również był lekarzem. Umarł na atak serca w wieku 37 lat. Jak twierdzi jestem teraz jej najbliższą rodziną.

W kwietniu 2013 roku po raz pierwszy spotkałyśmy się osobiście- 25 kwietnia 2013 r. w willi Goldsteinów w Katowicach odbyła się niezwykle podniosła, świetnie zorganizowana uroczystość wręczenia medalu i dyplomu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata dla Albina THIELA na ręce jego córki Grażyny Madejskiej. W uroczystości udział wzięli:

Grażyna Madejska- córka odznaczonego oraz Członkowie jej rodziny i zaproszeni goście

Nadav Eshcar – wice ambasador Izraela w Warszawie,

Ewa Rudnik- Dyrektor Departamentu Edukacji i Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przy Ambasadzie Izraela we Warszawie,

Dr. Hania M. Fedorowicz- Dyrektor Europejskiego Instytutu ds. Rozwiązywania Konfliktów w Społeczności w Salzburgu,

Mgr Dorothea Gmeiner-Jahn z Europäische Institiut fur Gemeinschaftsbasierende Konflikt-losung,

Piotr Uszok- Prezydent Katowic,

Jerzy Forajter- Viceprzewodniczący Rady Miasta Katowice

Włodzimierz Kac- Prezes Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Katowicach,

Mila i Izio Mesner,

Adrianna Murla- moja kuzynka z Madrytu.

Nadav Eschcar – Wiceambasador Izraela w Polsce odczytał akt pośmiertnego odznaczenia Albina Tylla (nazwisko spolszczone) medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata na wzgórzu Pamięci w Jerozolimie. Potem poprosił, abym to ja wręczyła medal Gra-

zynie. Zrobiłam to z głębokim wzruszeniem i ogromną radością. Kilka osób wygłosiło przemówienia. Przytoczą słowa Grażyny Ma-dejskiej:

„Mila właściwie wszystko opisała w książce, całą historię. Panie Ambasadorze, Panie Prezydencie, Szanowni Goście! Dziękuję wam, że zechcieliście Państwo przyjąć zaproszenie na dzisiejszą uroczystość. Jest z nami szczególna osoba, pani Mila Mesner, która to przez 60 lat z ogromną determinacją, uporem i trudem poszukiwała mnie. Pani Mila jest jedną z trzech kobiet, którym w czasie wojny mój ojciec ALBIN uratował życie. To dzięki jej poszukiwaniom dopiero dwa lata temu dowiedziałam się, że Tata przeżył wojnę i był wspaniałym człowiekiem. Bardzo żałuje że mój mąż Tadeusz, nie dożył tej wspaniałej uroczystości. To on przez lata w rozmowach o wojennych losach mojej rodziny sugerował, żebyśmy nie wierzyła w śmierć ojca i szukała go. Nie zrobiłam tego i bardzo żałuje.

Brakuje mi także mojego syna Jacka, który odszedł 10 lat temu. W takiej wyjątkowej chwili jak dzisiejsza, wytęsknionej, wyraźnie czuje swoją samotność, Szkoda, że nie mogę z nimi przeżyć tej radosnej chwili. To ogromny zaszczyt odbierać order i dyplom Sprawiedliwy wśród Narodów Świata nadany memu Tacie.

Serdecznie dziękuję Panu Ambasadorowi za obecność i Ambasadzie Izraela za trud włożony w poznanie tak ważnej dla mnie historii mojego ojca. Dziękuję Panu Prezydentowi Uszokowi oraz pani Ewie Rudnik, dyrektor Departamentu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata Ambasady Izraela za organizację dzisiejszej uroczystości. Chcę także podziękować serdecznie Pani Mariannie Durczok, która mi bardzo pomogła i bardzo mnie wspierała. Dziękuję Państwu”.

Pan Jerzy Forajter, wiceprzewodniczący Rady miasta Katowice, powiedział:

„Panie Ambasadorze, wielce szanowne Panie, drodzy goście, mam wielką przyjemność powitać i serdecznie pozdrowić Państwa w imieniu Katowickiej Rady Miasta. Dzisiejsza uroczystość jest uroczystością szczególnego rodzaju, która po raz kolejny przywraca

wiarę w sens człowieczeństwa, nam katowiczanom pozostaje życzyć sobie, abyśmy się na takich uroczystościach spotykali jak najczęściej. Dziękuję bardzo”.

Kiedy poproszono mnie o zabranie głosu, dodałam bardzo niewiele do tego, co napisałam o Albinie w mojej książce. Kilka słów o jego niespotykanej odwadze i poświęceniu, o udzielonej pomocy mojej przerażonej i niezaradnej rodzinie, z codziennym narażeniem własnego życia. O tym, jak kochał moich rodziców. Wspomniałam o jego optymistycznym podejściu do życia, o tym jak pomagał nam walczyć z głodem, chłodem i przygnębieniem, jak podtrzymywał nas na duchu i podsyczał w nas nadzieję. Jestem przekonana, że gdyby nie świadomość, że Albin istnieje i pomoże nam przeżyć, na pewno nie zdobyłyśmy się na to, aby wyskoczyć z pociągu wiozącego nas do obozu zagłady w Bełżcu.

Moi rodzice, którzy zostali w pociągu, również wierzyli, że Albin nam pomoże-i tak się stało. Przez trzy lata z nieustannym narażaniem własnego życia Albin opiekował się trzema młodymi kobietami, które wyrwały się z rąk śmierci-pomagając nam przeżyć na fałszywych papierach, które dla nas zdobył. Był naszym aniołem stróżem- uczył nas katolickich modlitw i pieśni, kolęd, obrzędów i obyczajów. Pomagał nam wyjść z wielu sytuacji bez wyjścia, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Były prawdziwym bohaterem.

W ubiegłym roku obchodziłam moje 90 urodziny- cieszę się, że dane mi było dożyć chwili, kiedy bohaterstwo Albina Thiela zostało oficjalnie uznane, że imię jego uwiecznione jest w Parku Sprawiedliwych w Jerozolimie i że jego jedyna córka dowiedziała się, jakim wspaiałym człowiekiem był jej ojciec.

Obecnie wraz z garstką zaprzyjaźnionych osób, staram się zebrać dokumentację na temat bohaterskiej działalności proboszcza z Kołomyi, księdza prałata Ludwika Peciaka, który w straszliwych czasach okupacji hitlerowskiej uratował życie wielu osobom pochodzenia żydowskiego, wystawiając im kopie metryk urodzenia i chrztu.

Zapłacił za swe bohaterstwo własnym życiem- aresztowany przez gestapo, zginął męczeńską śmiercią kwietniu 1943 roku, w

obozie koncentracyjnym na Majdanku. Jeżeli nie uda mi się zgromadzić wymaganej przez Yad Vashem dokumentacji, pocieszam się, że przynajmniej w tej książce mogę oddać hołd jego pamięci.



Uroczystość pośmiertnego nadania Albinowi Tyllowi medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Od lewej: Amalia (Mila) Mesner, Grażyna Madejska, Prezydent Piotr Uszok, Wiceambasador Izraela Nadav Eshcar- Katowice 25 kwietnia 2013 r.

Jerzy Beski

MOJE PODOLE

Wspomnienia- część IV

Rok 1941

Wydawało się, że wojna jest daleko. Blisko były tylko niedostatek i niepewność. Pociągało mnie malowanie. Robiłem nieśmiałe próby.

Któregoś dnia w kwietniu poczułem się źle, nogi mdlały przede mną. Miałem wysypkę i stan podgorączkowy. To była szkarlatyna. Nie istniało lekarstwo na tą chorobę. Były tylko surowe nakazy i zakazy, wszystkie bliskie przesądom. Obowiązywała dieta i leżenie, w łóżku w zaciemnionym pokoju. Nie wolno było dużo mówić ani śpiewać, bo choroba „rzuci się” na gardło, nie wolno forsować oczu, bo uderzy na wzrok, nie wolno nawet słuchać, bo zagrożone są uszy. Ba, nie wolno nawet siedzieć w łóżku, bo zaatakowany zostanie kręgosłup. Wszystko, dosłownie wszystko było zakazane. Obowiązywała całkowita izolacja, ponieważ choroba jest bardzo zaraźliwa.

Czekała mnie sześciotygodniowa tortura półtrwania. Świadomy tego, przemyciłem do łóżka „Przygody Hucka Finna” Marka Twaina. Ryzykując upośledzenie oczu i ruinę kręgosłupa, a przede wszystkim ryzykując, że zostanę przyłapany, czytałem ukradkiem, czasem tylko stroniczkę lub dwie dziennie. Miałem bezbrzeżnie dużo czasu, żeby kontemplować każdą linijkę tekstu. Na sześć tygodni zatopiłem się w cudownej opowieści Twaina. Wcieliłem się bez reszty we postać Hucka, w wyobraźni wciąż płynąłem nurtem Missisipi. Przygody Hucka pozostały najpiękniejszą lekturą mojego życia. Nie zapomnę nigdy chwili, kiedy po tygodniach monotonnej diety dostałem kromkę chleba z masłem posypaną szczypiorkiem.

Mój mały świat pod presją wielkiego świata szybko się zmieniał. Czulem i rozumiałem jak wyrostek, ale równocześnie napierały na mnie wydarzenia które miałem pojąć tylko podsłuch-

jąc dorosłych. Narastał niepokój, niepewność, powiększała się złość i bieda.

Pan Maniaszek zmienił pisownie swojego nazwiska. Teraz znalazło się w nim „sch”. Kino zamknięte 17 września zamarło ostatecznie. Trzecia władza- podziemie ukraińskich nacjonalistów- zaczęła uwalniać ich ukraińską ojczyznę od Polaków. Zaczynał się czas mordów. Władzę najświetniejszej rasy reprezentował esesman Szklarek. Wysoki, patykowaty, paskudny typ pod sześćdziesiątkę, równie skory do bicia po twarzy za byle co, jak do sięgania po pistolet Mówił trochę jakimś podobnym do słowiańskiego językiem. Jedni twierdzili, że jest ze Śląska, bo często słał paczki do Rybnika, inni, że jest Austriakiem. Wyróżniał się też inny Niemiec wyspecjalizowany w rekwirowaniu wszelkich produktów rolnych. Nazywał siebie Papa Sturm. Jowialny grubas bez obstawy jeździł po wsiach, ogoławając z plonów chłopskie gospodarstwa. Chętny do wyzerki i wypitki argumentował za pomocą niezwyklego wolapiku: „ Ja wasz papa. Przyjdzie inny, będzie gorszy”. Nigdy nie sięgał do kabury. Z tego co wiem, nikt nie nastawał na jego życie.

Na zakończenie roku szkolnego, otrzymaliśmy świadectwa. Moje było takie sobie, niezłe. Kiedy jak zwykle wracałem do domu z kolegami klasowymi, Ukraińcami z Plebanówki, niespodziewanie zaatakowali mnie, pobili i skopali. Wzięli odwet za gorsze od moich oceny na świadectwie? A może nie cenzurki były powodem pobicia? Może właśnie zaczęli pełnić nacjonalistyczną służbę wolnej Ukrainie?

Postanowili rodzice kupić kozy- „krowy dla ubogich”. W miejscu gdzie stała stodoła, a potem był wielki lej po bombie, już dawno zasypany, została wybudowana skromna obórka.

Pewnego dnia Tato przyprowadził dwie kozy. Nieco większa miała białą sierść i długie, zagięte do tyłu rogi, mniejsza była łaciata i miała małe różki. Od pierwszego rzutu oka postrzegalem je jako bardzo miłe zwierzaki. Z zaskoczeniem przyjąłem wiadomość , że zostają oddane pod moją opiekę. Ale to nie wszystko. Pokazano mi, jak się jej doi. Spróbowałem i wcale niezłe mi to szło. Nim się spostrzegłem , stałem się koziarzem i bardzo szybko utarło się w rodzi-

nie, że kozy są wyłącznie na mojej głowie. Nie był to dla mnie uciążliwy obowiązek. Po prostu otrzymałem zadanie do wykonania, więc je wykonywałem. Codziennie rano przynosiłem udój i ugotowane mleko z kawą zbożową bez cukru i kawałkiem chleba były dla mnie i dla Staszka porannym posiłkiem. Przyzwyczałem się do tego śniadania i bardzo je polubiłem. Całkiem inny smak koziego mleka z gorzką kawą zbożową pozostał dla mnie symbolem tamtych czasów. Koziarz jest przede wszystkim pastuchem. Kiedy inne zajęcia kolidowały z wyprowadzaniem kóz na wypas, mogły skubać trawę u nas w sadzie. Pasłem je w bardzo różnych miejscach, w rowach nad potokiem, na łące nad rzeką, na nieużytkach.

Wreszcie wytropiłem ciekawe miejsce pasterskie. Był to dobrze ogrodzony plac, na którym zgromadzono różne wysłużone maszyny do budowy dróg. Nie nadzorowany przez nikogo, porósł bujną trawą. Brałem książkę, kozy i po łatwym sforsowaniu bramy puszczałem kózki wolno, a sam rozpostarty na siedzisku któreś z maszyn, zatapiałem się w lekturze. W tamtym czasie powieści były moim pasjonującym odkryciem. Zaczytywałem się w poważnej lekturze, mimo że miałem problemy ze zrozumieniem jej. Tak było na przykład z „Quo Vadis”. Ponawiałem wciąż nieporadne próby malarskie.

Rok 1943

Poszedłem kilka razy na nieszpory do kościoła i spodobały mi się. Liturgia kościelna z perspektywy nawy głównej nie pociągała mnie. Całkowicie niezrozumiała msza trwała dla mnie stanowczo za długo, a kazania mnie męczyły. Natomiast od zakrystii, do której właśnie trafiłem, odprawiane nieszpory miały klimat pogodnej intymności. Samo przystrajanie się w komżę, a skupienie towarzyszące tajemno-magicznym zabiegom księdza przy ołtarzu, muzyka organów, śpiewy, kadzidło otwierały świat uroków, łagodnej mistyki. Jednak do awansu na ministranta nie doszło. Był to krótki epizod w moim życiu.

Wciąż chorująca mama postanowiła poddać się zabiegowi usunięcia woreczka żółciowego. W dniu operacji w napięciu oczekiwaliśmy wiadomości ze szpitala. Były dobre. Operacja się udała, Mama czuła się dobrze. Poszliśmy wszyscy ją odwiedzić. Panował nastrój odprężenia.

Jednak po odwiedzinach otrzymaliśmy wiadomość, że nastąpiło gwałtowne pogorszenie. Mama dostała bardzo wysokiej gorączki, Po dwóch dniach zakomunikowano nam że Mama nie żyje. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Nie pojmowałem, co to znaczy. Byłem w stanie jakiegoś otępienia, dotkliwej pustki. Przywieziono Mamę do domu i ułożono na łóżku, w którym to rok temu leżałem na szkarlatynę. Okno zasłonięto grubym kocem, pokój oświetlały mdłym światłem, dwie świece ustawione u wezłowia łóżka. Wkrótce niewietrzone pomieszczenie ogarnął bardzo przykry zapach- ostra woń powietrza, w którym świece wypaliły tlen. Jeszcze dziś, gdy spotkam ten zapach, doznaje uczucia dławienia. W liturgii pogrzebu uczestniczyłem bezwiednie, automatycznie. Tak naprawdę dobrze pamiętam tylko melodykę śpiewanych egzekwii i dudnienie wieka trumny pod spadającymi grudami ziemi. Stało się.

Podjęliśmy dalszą egzystencję w tym samym trybie, jaki wiedliśmy, gdy Mama jeszcze żyła. Tato nie miał najmniejszego pojęcia o jakichkolwiek czynnościach kuchennych. Nawet kiedy przyszedł do domu głodny, nigdy nie zaglądał do garnków, siadał za stołem i czekał.

Obaj ze Staszkiem byliśmy oswojeni z kuchnią. Mama przed operacją prawie nie wstawała. Mianowała więc nas kuchcikami. Z łóżka dyktowała i sprawdzała każdy szczegół czynności kucharskich. Mieliśmy więc trochę wprawy w gotowaniu kilku zup i drugich dań, w rodzaju pierogów ruskich czy knedli. Nasze obowiązki ułożyliśmy w ten sposób, że gdy Staszek gotował, ja zmywałem naczynia, a kiedy ja gotowałem, on zmywał.

Poza domem w najbliższym otaczającym nas świecie też działo się źle. Getto uległo ostatecznej likwidacji. Tego dnia nie poszliśmy do szkoły, bo znajdowała się w jego granicach. Słysząc było tylko pojedyncze strzały z tamtej strony miasta. Około poł-

dnia ulicą przed naszym domem przeszedł upiorny pochód ludzi idących na śmierć. Prowadzeni przez nieliczną eskortę niemiecko-ukraińską, szli Żydzi w najwolniejszym jaki można sobie wyobrazić, marszu. Ludzie się poruszali, przesuwając stopy przed siebie. Szli, jakby groza ich losu już pozbawiła ich życia. Wstrząsający był „ordnung” tego pochodu. Niemcy, zaprawieni w tępej dyscyplinie porządku, ustawili nieszczęśników w dokładne rzędy. I szli Żydzi całą szerokością ulicy w posłusznych, równych rzędach. Szli w szpalerze wyległych z domów ludzi, milczących jak oni. Wielu patrzących widziało wśród idących swoich znajomych, a może i siebie samych, według najprostszej wojennej refleksji: dzisiaj oni, jutro być może my.

Pochód zdążył do Plebanowski, gdzie odbyła się kaźń. Gdy przeszedł marsz śmierci, zaczął kursować samochód śmierci. Ciężarówką dowożono do Plebanówki Żydów i Cyganów wciąż wylapywanych i wyciąganych z kryjówek. Kiedy ten samochód mijał nas pędem, zobaczyłem, że wyskakuje z niego młoda kobieta. Spadła na bazaltowy bruk. Leżała, nie wydając żadnego dźwięku. Nieznacznie się poruszała. Podeszedł do niej jeden z Ukraińskich policjantów, którym obsadzona była trasa marszu i zabił strzałem z karabinu. Żyliśmy poddani nieograniczonej władzy bandytów w mundurach.

W domu zaszła znacząca zmiana. Zamieszkali z nami dwaj młodzi mężczyźni. Pracowali w zarządzie klucza gospodarstw rolnych. Szefował im pan Maier mieszkający z rodziną sąsiedztwie. Codziennie rano, w lecie bryczką, w zimę saniami, jechali do swoich obowiązków aż za Strusów, a wieczorem wracali. Niebezpiecznie było nocować w miejscu pracy na wsi. Młodzi mężczyźni swoją obecnością rozładowali ciężką atmosferę załęgającą dom. Bardzo się różnili wyglądem i temperamentem.

Niższy, daleki nasz krewny Kaliński, pleczysty, emanujący energią blondyn o uwodzicielskich niebieskich oczach. Miał naturę otwartą, serdeczną, empatyczną. Jego przyjaciel, szczupły, wysoki brunet był uderzająco przystojny. Urodą przypominał Puszkina. Poważny, małomówny i zawsze skupiony. Trochę grał na fortepianie.

Mijało lato. Jeden ze współników Taty, mimo rujnujących przymusowych dostaw, przywiózł wielkim drabinowym wozem należna nam część plonu. Nie mogło być mowy o wynajęciu zmłocków. Byliśmy za biedni. W tej sytuacji Tato sam wziął się do pracy. Na klepisku podwórza znów, jak przed wojną, rozległ się rytmiczny stukot młócki. Jednak nie tak długo jak planował Tato. Pracę przerwały bóle ucha. Za radą lekarza zaniechał trudów młócenia. Podjęte leczenie przedłużało się, i na koniec okazało się bezskuteczne. Z diagnozą zapalenia gruczołu usznego został przyjęty do szpitala. W tamtym wojennym czasie w szpitalu pacjent cywilny otrzymywał łóżko, jakieś leczenie, i nic więcej. Wyżywienie chorego należało do obowiązku rodziny. Gotowaliśmy więc co się dało i z czego się dało, i codziennie nosiliśmy Ojcu ciepły obiad.

Wkrótce okazało się że Tato cierpi na ropne zapalenie i konieczny jest zabieg chirurgiczny. Po operacji Tato czuł się jeszcze gorzej. Jak to bywa u cukrzyków, rana po operacji nie chciała się goić. Widziałem codziennie, jak zapadająca się, nieogolona twarz Taty, deformuje się z każdym dniem coraz bardziej i staje się nierozpoznawalna, obca.

Patrzyłem, jak je z coraz większą trudnością. 6 grudnia rano przysłano wiadomość ze szpitala, że Tato umiera i musimy spieszyć się, żeby zastać go jeszcze przytomnego. Nie pamiętam jak pokonaliśmy drogę do szpitala. Niezrozumiała paraliżująca trwoga nie pozwoliła mi wejść do sali, w której umierał mój tato. Czekałem długo w płaczu i strachu, skulony pod drzwiami. Kiedy Staszek wyszedł i powiedział że Tato umarł, puściłem się nieprzytomnym biegiem do domu. Upłynęły godziny nim trochę się uspokoiłem, ale nadal byłem w stanie półświadomości. Nigdy nie spytałem Staszka, jak przebiegła rozmowa z umierającym Tatą. Domyślam się, że nakazał mu opiekować się mną. W pamięci pozostały mi tylko fragmenty uroczystości pogrzebowych. Zaskoczeniem było pojawienie się dwóch popów z ukraińskiej gałęzi naszej rodziny.

Tuż przed wojną byłem z Tatą na prymicji jednego z nich. Po wyjściu konduktu z kościoła w liturgicznych szatach dołączyli do księdza. Pamiętam, że naszej wędrownicy na cmentarz towarzy-

szyla nagle śnieżycą. Płaty śniegu były wyjątkowo wielkie. Do dziś padający wielkimi płatami śnieg przypomina mi tamten żałobny dzień. Ja skończyłem trzynasty rok życia. Staszek miał lat 15. Bez zwłoki wziął na siebie rolę przewodnika. Nie utrudniałem mu jej. Nigdy nie podzielił nas jakiś konflikt.

Pierwszy raz podjąłem pieszą wędrówkę do rodziny w Warwaryńcach. Była to wyprawa po prowiant, powtarzana potem wiele razy. Trudno było wyżyć samym mlekiem kóz. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Przygotowaliśmy coś na Wigilię, nie pewni, czy nasi lokatorzy będą świętować z nami. Mieli, jak zwykle wrócić o zmroku. Czekaliśmy. Ich nieobecność przeciągała się - aż przeciągnęła się w wieczność. Zostali zamordowani w zasadzce urządzonej przez Ukraińców. Przed północą przywieziono ich ciała. Nasz niebieskooki krewny próbował się bronić. Ostrzeliwał się z rewolweru który zawsze nosił przy sobie.

Rok 1944

Nasz sąsiad, ojciec Nusi, został zastrzelony przez ukraińskiego nacjonalistę w biały dzień, na placu targowym. Po wykonaniu egzekucji morderca odszedł spokojnie.

Mnożyły się wiadomości o napadach na polskie wioski, o okrutnych morderstwach. Mówiło się o rezunach, bulbowcach, upowcach, banderowcach. Strach miał łatwy dostęp i do nas. Mieszkaliśmy już sami w wielkim domu. Pan Małaj coraz rzadziej wracał na noc ze swoich służbowych wyjazdów. Pani Małajowa ostatecznie straciła nadzieję, że mąż porzuci swój nałóg i wyprowadziła się wraz z synkiem.

Stach zdobył gdzieś dwa wielkie arkusze grubej blachy. Dokładnie odpowiadały wymiarom okien w kuchni i pokoju. Codziennie na noc zakładaliśmy je i blokowaliśmy mocnymi krawędziakami. Również bezpośrednie drzwi wejściowe blokowaliśmy krawędziakami, zakładanymi na grube żelazne haki. Barykadowaliśmy także drzwi między naszym a resztą pokoi. Były to bierne środki

obrony, ale na bardziej aktywne, czyli broń, nie było nas stać. Jedyne, co udało się Staszкови zorganizować, to duże bombki, tzw. „myszki”. Były to przeciwpiechotne bombki wielkości granatów zrzućane z samolotów. Na strychu dokładnie nad wejściem do zajmowanej przez nas części domu, znajdowało się okienko. Bombki zostały zamaskowane tuż przy nim, aby były pod ręką w razie konieczności zrzucenia ich na szturmujących drzwi.

Innym sposobem zaręczenia bezpieczeństwa było spędzanie nocy w bezpieczniejszych miejscach niż własny dom. Kilka nocy spaliśmy w gospodarstwie życzliwej nam ukraińskiej rodziny, Kilka nocy w sąsiedztwie, w willi pana Kuci. Nocowało tam kilka rodzin, dla których rękojmą bezpieczeństwa była szeptem podawana poufna i chyba całkiem nieprawdziwa wiadomość, że gospodarz dysponuje bronią.

Noce spędzane w domu upływały w napiętej czujności, często bezsennie. Pewnego wieczoru kiedy około północy zamierzaliśmy iść spać, zelektryzowały nas głośne dźwięki dochodzące zza ściany, z frontowej części domu. Słysząc było przewracanie krzesła, tłuczenie szklanych naczyń. Ze szklankami na ścianie i uszami na szklankach, wsłuchiwaaliśmy się w brutalną obecność kogoś wrogiego w mieszkaniu Pana Małaja. Nagle rozległy się słowa piosenki:

*„Kryształowa czasa, sribrnaja kresz
Pyty czy nepyty wsio jedno pomresz”*

Była to ulubiona piosenka Pana Małaja, a on sam w ulubionym stanie upojenia alkoholowego. Chodziliśmy też nocować do serdecznie przyjaznej nam rodziny państwa Hajduszewskich. Heniek Hajduszewski był rówieśnikiem i przyjacielem Staszka. Mieszkali na przedmieściu Sady.

Pewnego pogodnego wieczoru znajdowałem się na zewnątrz domu. Z zainteresowaniem wsłuchiwałem się w bardzo charakterystyczny terkot rosyjskiego dwupłatowca, zwanego „kukuruźnikiem”. Jego obecność nie była czymś obcym. Front był już blisko. Nagle silnik kukuruźnika zamilkł. Słyszałem tylko cichy świst powietrza w linkach samolotu. Na dworcu kolejowym wybuchła bom-

ba. W kilka sekund po detonacji rozległ się terkot włączonego silnika samolotu. Spokojnie odleciał. Tymczasem na dworcu w pożarze pociągu zaczęła eksplodować amunicja. Cały skład kolejowy załadowny był pociskami różnego kalibru i wkrótce na stacji szalał huragan wybuchów. Skryliśmy się w piwnicy, bo zaczęły gęsto fruwać odłamki. Nazajutrz pobiegliśmy zobaczyć jak nawałę przetrwał nasz dom, Dobosz i kozy. Ściana, okna i dach od strony dworca kolejowego był w żałobnym stanie. Wyglądały jak by je podziobały jakieś wielkie ptaszyska. Zwierzęta były całe i zdrowe.

Innej bezsennej nocy usłyszałem słabo słyszalny warkot motoru „Kukuźnika”. Wszystko powtórzyło się jak podczas poprzedniej wizyty dwupłata. Celem był most kolejowy. Jedna dokładnie ułożona bomba złamała przęsło. Sowieci dobrze posługiwali się posiadaną bronią.

Przyszedł dzień, kiedy po ostrzale z dział czołgowych, przez miasto przetoczyły się wielkie cielska tanków. Za nimi szli piechociarze mocno zaprawieni wódką. Cóż to był za widok, jak przez opłotki i ogrody uciekali dosłownie jak zające, niemieccy landwenzrzyści!

Znużeni rabunkową niemiecką okupacją, witaliśmy sowieców, łudząc się nadzieją, że się zmienili. Rzeczywiście, armia była już inna. Ale za armią szli politycy wprowadzający porządku niewiele różniące się od tamtych sprzed kilku lat. Ostatecznie jednak znikła groźba masowych deportacji w głąb Rosji. Znowu zostaliśmy zaszczytzeni radzieckim obywatelstwem i znowu mieszkaliśmy przy ul. Józefa Wissarionowicza Stalina.

Wszystkim wiadomo było, że wyzwolicieli uważają ukraińskich nacjonalistów za zdrajców i wrogów. Spodziewaliśmy się poprawy sytuacji, ale odruchowo zachowaliśmy dotychczas praktykowane zabezpieczenia.

Ukraińcy znaleźli się w potrzasku, i to spowodowało że byli jeszcze bardziej agresywni. Pojawiło się nowe zagrożenie- niemieckie naloty bombowe. Luftwaffe jeszcze nie była zniszczona. Ataki bombowe były osobliwe. Dokonywały je pojedyncze samoloty, przeważnie nocą. Niemieccy lotnicy, wracając znad celów położo-

nych głębiej na zapleczu frontu, po prostu opróżniali swoje ładownie nad przyfrontowym miastem. Po omacku ciskali bomby gdzie popadnie.

Nadal chętnie spędzaliśmy nocę poza domem. Tu, przy dworcu kolejowym, zamiast snu było nerwowe czuwanie. Doszło do tego, że uparcie odpędzałem sen, aby nie dopuścić do sytuacji, w której eksplodujące bomby wyrwały by mnie ze snu. Byłem pewny, że dopadnie mnie wtedy szaleństwo. Jednak mocno się myliłem.

Któregoś dnia przedwiośnia, tuż prze zapadnięciem zmroku, kiedy właśnie chcieliśmy opuścić dom, wpakował się nam do mieszkania sowiecki lejtnant i oświadczył, że tu jest jego kwatery i nocleg. Położył się na wskazanej mu kozetce i natychmiast zasnął. Mieliśmy tylko jedno wyjście: pójść za jego przykładem i też się położyć. W nocy obudziło mnie coś, czego początkowo nie potrafiłem zidentyfikować. Słyszałem szamotanie się i przekleństwa ruskiego oficera i poczułem znany mi okropny smród ładunku wybuchowego.

W zębach zgrzytał tynk i kurz. Słyszając, że Staszek obok też wykonuje jakieś dziwne ruchy, spytałem go, co się dzieje? „Jak to co?”-odpowiedział-„, nie słyszałeś że szwab rzucił bombę w sąsiedni pokój?”. Oficer zrzucił wreszcie z siebie drzwi, które go przywaliły i natychmiast zasnął. Ten przykład stoicyzmu zadziałał na nas tak skutecznie, że po usunięciu z pościeli kawałków tynku i stiuków spadłych z sufitu, spaliliśmy spokojnie do białego rana.

Rano stwierdziliśmy, że średniej wielkości bomba spadła na odległość około 10 metrów od naszych łóżek. Wybuchła tuż pod oknem sąsiedniego pokoju, zniszczyła go, wyłamała i wrzuciła do naszego pokoju dwuskrzydłowe drzwi. Dom stawał się dziurawy i otwarty. Naprawy przekraczały nasze możliwości.

Cdn.

Igor Megger

Poznań

MOJE RODZINNE WSPOMNIENIA Z PODOLA

Wiele osób w naszym Towarzystwie pyta mnie (jako bodaj najmłodszego członka poznańskiego Oddziału TML i KPW) jakie są moje związki rodzinne z Kresami. Wychodząc tym pytaniom naprzeciw, podjąłem się z posiadanych przeze mnie informacji, zdjęć i dokumentów, spisać historię tej części mojej rodziny, która zamieszkiwała słoneczne, „miodem płynące” Podole.

„Mój” Czortków

Jestem wnukiem (ojciec matki) płk. Zbigniewa Millera (1940-2006), który urodził się 5 lipca 1940 roku w Czortkowie w rodzinie wojskowej. Jego przodkowie co najmniej od połowy XIX wieku zamieszkiwali Czortków i okoliczne wioski. Założony w 1522 r. Czortków jest malowniczo położonym w dolinie rzeki Seret miasteczkiem, w okresie II RP był drugim po Tarnopolu miastem województwa i liczył ok. 30 tysięcy mieszkańców, z tego połowę stanowili Polacy. Obecnie Czortków liczy niecałe 30 tysięcy mieszkańców i działa w nim Polskie Stowarzyszenie Kulturalne zrzeszające garstkę mieszkających tam Polaków.

Przodkowie mojego dziadka o nazwisku Bojakowscy byli rodziną urzędniczą zamieszkałą w tzw. Czortkowie Starym⁶. Babka mojego dziadka Emilja Bojakowska (po mężu Żyła), ponieważ zakochała się w biednym i dość mało wykształconym wojskowym Mieczysławie Żyle z Bursztyna, została z majątku tuż przed I wojną światową przez swego ojca Karola (który w Czortkowie pełnił funkcję C.K. Oficjała Sądowego) wydiedziczona. Z rodziny Boja-

⁶ Jedna z dzielnic miasta (najstarsza)

kowskich wywodził się m. in. Jan Bojakowski (1863-1935) kierownik szkoły im. Św. Józefa w Stanisławowie, czy Michał Bojakowski (1885-1975) absolwent politechniki lwowskiej, jeden z głównych architektów odbudowy Gdańska po zniszczeniach wojennych roku 1945. Mieczysław Żyła zmarł w szpitalu wojskowym w trakcie pierwszej wojny światowej zostawiając swoją żonę Emilię z dwójką małych dzieci: Zdzisławem i Marią (1919-1984) (matka mojego dziadka).



Maria Żyła przy ruinach Czortkowskiego zamku

Maria Żyła moja prababka, skończyła szkoły w Czortkowie i pod koniec lat 30. poznała wojskowego KOP w Czortkowie, pochodzącego spod Żywca, potomka austriackich osadników, podoficera Wilhelma Müllera (1911-1967).

Czas do wybuchu wojny płynął leniwe a młodo poznana para planowała ślub na koniec 1939 roku. Ponieważ Wilhelm był zawodowym żołnierzem, jego pobory nie były niskie. Maria natomiast

występowała w ludowych zespołach artystycznych jako tancerka i śpiewaczka.

Wilhelm zakupił parcelę przy ul. Zamkowej 8 (lub 10) w Czortkowie-Wygnance, u stóp zamku. Parcela była dość spora i dochodziła do Seretu.



Wilhelm Müller i Maria Żyła na moście w Czortkowie

Pod koniec sierpnia 1939 r. garnizon Czortowski KOP prawie w pełnym składzie „przerzucony” został na granice z Niemcami i włączony w skład armii „Prusy”. Opuszczenie przez ten batalion swojego matecznika spowodowane było faktem, iż brygada KOP „Podole” w której skład wchodził ten oddział, był jednym z najliczniejszych oraz najlepiej wyszkolonych (jego dowódcą był m. in. słynny generał Stefan Rowecki-Grot) oddziałów KOP w Polsce. Brygada KOP „Podole” znalazła się w składzie 36 Dywizji Piechoty (rezerwowej). W związku z tym, że była to dywizja formowana naprędce, nie została zmobilizowana w 100%. Działania wojenne zastały ją w rejonie Szydłowca (ob. woj. Mazowieckie). Nie miejsce tutaj opisywać szlaku wojennego Czortowskiego garnizonu. W każdym razie Wilhelm Müller na łożu śmierci w 1967 roku opowiedział swoim synom o dramatycznych przeżyciach, jakie wówczas miały miejsce.

Jego oddział składowy 163 rezerwowego pułku piechoty⁷, właściwie cały czas wycofywał się bez walki. Po drodze spotkali grupę cywilnych uciekinierów, którzy błagali, by mogli iść razem z wojskiem. Oddział na to przystał. Od tego czasu za dnia się wycofywali a w nocy byli bombardowani i ostrzeliwani. Wielkie zdziwienie budził fakt, skąd Niemcy tak dokładnie znają ich pozycję. Podejrzanie padło na cywili, okazało się, że w ich pakunkach była radiostacja, którą nadawali dokładne pozycje polskiego oddziału. W kolumna została w warunkach wojennych rozstrzelana bez sądu. W nocy po tym zdarzeniu rozpoczął się taki ostrzał, że oddział został rozbity w drobny mak. Wilhelm wraz z kolegą kilka dni ukrywali się na bagnach, reszta prawdopodobnie poległa. Uznali, że muszą przebić się na Warszawę, jednak po drodze doszła ich wiadomość o kapitulacji stolicy - 28 września 1939 r. Uznali wtedy, że muszą przebić się do Czortkowa na własną rękę. Po przekroczeniu Wisły złapały ich ukraińskie bandy. Na szczęście skończyło się na roze-

⁷ Losy wojenne tego pułku opisał p. Robert Szczerkowski w monografii „Udział 163 Rezerwowego Pułku Piechoty w Kampanii Polskiej 1939 roku. Wyd. IPN Wrocław w 2019 roku.

braniu do bielizny. Wilhelm Müller do Czortkowa dotarł na początku października.

W związku z tym, że Czortków zajęli sowieci Wilhelm Müller jako żołnierz KOP musiał się ukrywać. Na jego szczęście okazało się, że w czasie walk w obronie stolicy poległ żołnierz o tym samym imieniu i nazwisku, przez co został on uznany za zmarłego. W październiku 1939 r. Wilhelm Müller wziął ślub z Marią Żyłą, a w lipcu 1940 roku urodził się ich syn Zbigniew - mój dziadek. Nowożeńcy zamieszkali w świeżo ukończonym domu przy ul. Zamkowej, z matką Marii Emilią i bratem Marii Zdzisławem, który zachorował na Heine-Medinę i był inwalidą. Lata 1940-1944 przeszły dla mojej rodziny spokojnie, Wilhelm pracował w tym czasie jako mechanik we zakładach „Zirka”. „Wyzwolenie” Czortkowa było dla mojej rodziny dramatyczne. Miasto zostało wyzwolone prawie bez walki 23 marca 1944 roku, natomiast ostrzał i walki w okolicy trwały jeszcze do końca kwietnia. W trakcie tego ostrzału, który był prowadzony od południa (z kierunku wsi Nowa Jagielnica), miasto ucierpiało. Zostało zniszczone szczególnie w okolicy dworca kolejowego i na ul. Zamkowej, gdzie zginęło sporo ludzi. Straty te spowodowane były najprawdopodobniej nalotem bombowym. W trakcie nalotu zginął wujek mojego dziadka – Zdzisław, który zrobił dziadkowi miejsce pod stołem, dzięki czemu mój dziadek przeżył.

Wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej Wilhelm Müller uznał, że najlepiej dla niego będzie (jako przedwojennego żołnierza KOP), jak wstąpi do nowo formowanej armii polskiej. Zaczął służyć w II Armii Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Świerczewskiego, a dokładnie w 29 pułku 10 Dywizji Piechoty podziej nazwanej „Sudecką”. Wraz z nią przeszedł cały szlak bojowy, w tym stojąc kilka tygodni na rzece Nysie, by zakończyć działania pod czeską Pragę. W trakcie działań wojennych skończył przyfrontową szkołę oficerską i uzyskał stopień podporucznika. Za swoje męstwo w czasie walki z Niemcami został udekorowany szeregiem medali m. in. srebrnym medalem „Zasłużony na polu chwały”, czy medalem „Odra-Nysa- Bałtyk”. Pozostała w Czortkowie rodzina (tj. żona, syn i teściowa), wyjechali z Czortkowa pierwszym transportem w marcu

1945 roku. Tym samym transportem ewakuowany był słynny harcmistrz i nauczyciel Józef Opacki, który schowany był przed NKWD w koszu. Moja rodzina ewakuowała się do Tarnobrzegu - do rodziny Wilhelma.

Po zakończeniu działań wojennych głowa rodziny Wilhelm Müller odnalazł rodzinę i zabrał ją „do siebie”. Jako wojskowy często zmieniał miejsce zamieszkania. Najpierw była to Jelenia Góra, gdzie urodził się brat dziadka Wiesław (1946) i Edward (1949), potem Żagań, a od 1953 zamieszkali w Poznaniu, przy ul. Chłapowskiego, gdzie urodziły się jeszcze dwie siostry (Jolanta w 1953 i Małgorzata w 1960). Wilhelm Müller po wojnie musiał zmienić swe imię na Włodzimierz, a nazwisko spolszczyć na Miller. Po przybyciu do Poznania dostał kierownicze stanowiska w zakładach Cegielskiego na wydziale siódmym (W-7), oraz został kierownikiem poligonu Cegielskiego w Złotnikach pod Poznaniem. Niestety, w momencie, kiedy miał prawdopodobnie objąć stanowisko w ministerstwie (miano mu nawet założyć telefon - w latach 50 była to rzecz niemożliwa) doszukano się, że przed wojną był w KOP i zmuszony był przejść w stopniu kapitana do rezerwy. Najstarszy jego syn Zbigniew poszedł w ślady ojca i także został wojskowym. Służył w siłach lotniczych jako obsługa naziemna, później był kierownikiem 1 rejonowego Przedstawicielstwa Wojskowego w Poznaniu. Do rezerwy odszedł w stopniu pułkownika. Zmarł w 2006 roku w Poznaniu. Pochowany na cmentarzu w podpoznańskim Szczepankowie- Spławiu

Z Borszczowa przez cztery klimaty

Siostrą mojej prababki od strony ojca była sybiraczka Salomea Głogowiec z d. Eichstadt (1896-1974), która przez długi czas zamieszkiwała z rodziną podolskie miasteczko Borszczów. Urodziła się w Ujściu k. Piły jako najstarsza z szóstki dzieci Hermana Eichstadt i Pelagii z d. Krygier. Jej bratem był Józef Eichstadt (1906-1966) wybitny polski kontrabasista zwany „Paganinim Kontrabasu”.

Salomea w 1923 roku w Ujściu wzięła ślub z urodzonym w 1899 roku, żołnierzem KOP Ignacym Głogowcem. W 1924 roku Ignacy służył w Koninie, gdzie urodził im się syn Marian. Od roku 1927 mieszkali w miejscowości Snów k. Baranowicz, gdzie Ignacy służył w batalionie KOP „Snów”, by w 1932 roku przenieść się do Borszczowa. W Borszczowie służył w 14 batalionie granicznym KOP „Borszczów” jako instruktor wyszkoleniowy 2 kompanii bat. KOP „Borszczów”. Wraz z wybuchem wojny Ignacy Głogowiec był w stopniu starszego sierżanta, i pełnił stanowisko szefa kompani obwodowej.

Żołnierze KOP w Borszczowie- w środku I. Głogowiec z żoną Salomeą i synem Marianem.



Borszczów, jest miasteczkiem położonym na południu województwa tarnopolskiego, blisko trój styku Polska-Rumunia-ZSRR. Obecnie liczy ok. 11 tysięcy mieszkańców. W latach 1945-1989 znajdował się tam jeden z nielicznych czynny kościół katolicki na terenie „naszych” Kresów, a w nim ambona z herbem KOP (zacho-

wała się do dziś). Salomea Głogowiec jako żona podoficera nie musiała pracować, do tego mieli swojego ordynansa. Mimo wysokiego poziomu życia zmarła im w niemowlęctwie córeczka Helenka.

Wybuch wojny zastał Ignacego w Borszczowie, gdzie (według relacji jego syna Mariana) już 17 września dostał się do niewoli, a w grudniu został aresztowany przez sowietów.

Na swoje nieszczęście idąc do niewoli przypiął sobie medal za 1920 rok, oraz jak głosi rodzinna plotka, pluł pod nogi oficerom radzieckim.

Ignacy Głogowiec został umieszczony w więzieniu, możliwe że w tym które to znajdowało się w ruinach zamku w pobliskim Czortkowie⁸. Dwukrotnie był tam u niego jego wówczas 15 letni syn Marian. Dostawał od ojca koszule, w których po wewnętrznych stronach rękawów pisane były tzw. „grypsy”. Ignacy pisał w nich „że jest zdrow, ale bardzo głodny”. Po raz ostatni Marian udał się do niego na początku 1940 r. Nie został wpuszczony przez NKWD. W lutym 1940 r. rodzina Ignacego tj. żona Salomea i syn Marian zostali wywiezieni do Kazachstanu i na tym ślad po Ignacym się urywa. Oficjalna wersja (stwierdzona po wojnie przez sąd) jest taka, że wraz z innymi żołnierzami garnizonu Borszczowskiego brał udział przy budowie szosy Lwów-Kijów (w budowie tej szosy brał udział m. in. znany literat Józef Hen) i w 1940 r. z powodu choroby został odseparowany i ślad po nim zaginął (relacja świadka Ignacego Michałowskiego). Natomiast inny świadek p. Orłowski powiedział synowi Ignacego Marianowi, że widział go w obozie pod Smoleńskiem. Świadek Mikołaj Czajkowski zeznał (zeznanie ze zbiorów IPN):

„Zostałem rozbrojony przez Sowietów 17 września w mieście Borszczowie na placu koło koszar, było nas piętnastu strzelców i trzech starszych podoficerów: sierż. podchorąży Jabłoński, sierż. Świtajło, sierż. Głogowiec szef kompanii. I zaraz pędzono nas trzydzieści kilometrów w Rosję do miasta Kamieniec Podolski. Jeść

⁸ W zamku czotkowskim więzienie znajdowało się w czasie zaboru austriackiego. W mieście przy ul. Mickiewicza znajdowało się duże więzienie, szczególnie zapełnione podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej (red.)

można było tylko marchew, jak kto był sprytny, i kipyatok. Tam byliśmy trzy dni, jak zebrali nas więcej, to załadowali do wagonów, transport składał się z około 800 ludzi, zamknięte wagony, bez wody, chleb dwukilowy na pięć osób dziennie. Podróż trwała osiem dni, aż do Tiotkino. Baraki letnie, a było już zimno. Brud, chłód, nędza i bez pomocy lekarskiej. I tak musieliśmy przeżyć trzy tygodnie. 25 października załadowali nas do transportu na stacji Tiotkino i zawieźli do Krzywego Rogu. Podróż trwała dziesięć dni, wagony zamknięte, jeść dawali tylko raz na dobę, abyśmy nie umarli tylko.

W Krzywym Rogu pracowałem w kopalni rudy żelaznej. Norma na dobę była: 18 ton nawozić do wagonów i za to płacili pięć rubli, musiał człowiek [za to] wyżyć dobę. Tak było do 10 maja. 20 maja do wagonów załadowali [nas] i zawieźli do Polski, Ostra Góra. Pracowałem na budowie dróg. 20 kwietnia 1941 roku zawieziono [mnie] do Czerlan na budowę lotniska. W łagrze było półtora tysiąca [ludzi] i tam pracowałem do 21 czerwca 1941, do wojny sowicko-niemieckiej”.

Nic więcej nie ustalono. Poszukiwania przez PCK (w 1995 i 2012) nie przyniosły żadnych rezultatów.

Tak jak wspominałem, Salomea z synem Marianem w lutym 1940 roku zostali wywiezieni na wschód, a konkretnie do Kazachstanu. Tam też mieszkali w dramatycznych warunkach w ziemiance, w oknach miast szyb były rybnie błony, a na obiad jedli susły zwane „susliki”. Pewnego dnia Salomea udała się do odległego o kilka kilometrów urzędu po coś do jedzenia, a mróz był taki, że jak się splunęło to ślina w locie zamarzała. Udało jej się zdobyć trzy jajka, które miały starczyć na kilka dni. Niestety jej syn Marian z kolegą Kazachem zrobili sobie z tych jajek „kogiel-mogiel”. Matka wyгнаła go za to z domu, czego bardzo żałowała i płakała potem, żeby wrócił. Na całe szczęście po kilku dnach wrócił. W tym czasie na Syberii (k. Krasnojarska) był także brat Salomei Walerian z rodziną, ale nie mieli w tym czasie kontaktu ze sobą.

W połowie sierpnia 1941 roku dzięki układowi Sikorski-Majski w Buzułuku zaczęto tworzyć polską armię zwaną potocznie od nazwiska jej dowódcy „Armią Andersa”. Salomea uznała, że jedynym ratunkiem dla jej syna jest wstąpienie w jej szeregi. Przeszkodą był jego wiek - był o rok za młody. Starym sposobem odbijając tusz białkiem z jajka, Salomea sfałszowała mu rok urodzenia z 1924 na 1923 dzięki czemu mógł wstąpić w szeregi wojska. Salomea natomiast przeniosła się do Taszkientu, gdzie pracowała jako stróż w teatrze. Do Polski wróciła cudem ostatnim transportem w 1947 roku. O transporcie tym dowiedziała się od znajomego lekarza, pociąg na dworcu już ruszał, ale jej udało się wskoczyć. Po drodze w Moskwie kupiła kupon materiału, z którego później moja babcia a jej siostrzenica miała suknie na bal maturalny. Od 1947 roku mieszkała w Poznaniu początkowo ze swoją matką, później z bratanicą Teresą, a od lat 60 do śmierci w 1974 r. w Chełmnie nad Wisłą u swojej siostry Wiktorii (mojej prababci).



Z walk na froncie Włoskim- M. Głogowiec 1 z prawej

Marian natomiast przeszedł z armią Andersa cały szlak bojowy. Służył jako kapral w Trzeciej Dywizji Strzelców Karpackich. Trzykrotnie przechodził malarię. Brał udział w słynnej bitwie pod Monte Cassino jako łącznik.

W czasie walk we Włoszech poznał piękną włoszkę Francescę (ur. 1928 r.), która wkrótce została jego żoną pomimo, iż małżeństwu sprzeciwiał się jej ojciec - lokalny faszysta.



Marian Głogowiec z żoną Francescqa- Włochy 1945 rok

Po zakończeniu działań wojennych Marian z żoną wyjechali do Anglii, gdzie w 1946 roku urodził się ich syn Georgio (Jurek). W

Anglii Marian skończył technikum, na które skierował go Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia. Kontakt z rodziną w kraju nawiązał dzięki ciotce Salomei Hajewskiej, która mieszkała w Baltimore (USA). W związku z sytuacją w kraju, nie zdecydowali się do niego wrócić. Wyjechali do Argentyny, gdzie w Buenos Aires prowadzili hotel. Marian Głogowiec z braku pieniędzy brał też udział w ryzykownej akcji przewożenia łodziami broni do ogarniętej wojną domowej Boliwii. Pod koniec lat 60 raz w życiu Marian przyjechał do kraju. Wtedy też na warszawskim lotnisku miała miejsce wzruszająca scena. Na lotnisku czekała jego matka z oryginalną miotłą, którą go tłukła w Kazachstanie. Po wyjściu z samolotu Marian powiedział „*Mamo teraz możesz mi przyłożyć za to, że na tyle lat ci uciekłem*”. Marian zmarł w 1992 roku w Buenos Aires, przed planowaną przeprowadzką do Nowego Yorku, gdzie także posiadali dom. Pochowany został na cmentarzu w stolicy Argentyny, blisko jego grobu znajduje się grób rodziców papieża Franciszka.

Będąc bardzo zainteresowany jako historyk Kresami (nie tylko ze względu na rodzinę), w 2011 roku wstąpiłem do poznańskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Od tego czasu jestem członkiem, i na ile mi czas pozwala, staram się brać udział w akcjach i działaniach Towarzystwa. W latach 2013-2019 byłem sekretarzem Komisji Rewizyjnej Oddziału, a od 2020 jestem członkiem zarządu Oddziału. W 2015 roku wyróżniony zostałem „Złotą Odznaką TML i KPW”. Od kilku lat biorę także udział w corocznych zjazdach Czortkowian w Warszawie.

Bardzo chętnie nawiąże kontakt z osobami które znały moich w/w krewnych. Mój telefon 728-252-793 z poważaniem I. Megger

Dr. Józef Wysoczański
Poznań

WSPOMNIENIA ZESŁAŃCA SYBIRU

cz. I

Początki edukacji przerwanej wybuchem wojny. Lęk i obawy przed nieznaną przyszłością. 1 września 1939 r. moi rodzice wysłali mnie jako niespełna siedmiolatka do miejscowej szkoły w Horodnicy – mojej rodzinnej miejscowości koło Skałatu - miasta powiatowego w woj. tarnopolskim. Idąc do szkoły widziałem na niebie dużo przelatujących samolotów, ale nie zdawałem sobie sprawy, że pośród nich nie było prawie wcale samolotów z polskimi znakami rozpoznawczymi. Mówiono, że to są nieprzyjacielskie maszyny zwiadowcze, które pilnie obserwowały wszelkie ruchy oddziałów Wojska Polskiego, a zwłaszcza oddziałów KOPu (Korpusu Ochrony Pogranicza) wzdłuż rzeki Zbrucz – rzeki granicznej z Rosją sowiecką. Dyrektorem szkoły, do której szedłem, był pan Krzyżanowski, a opiekunem i nauczycielem mojej klasy był pan Bigda. Bigda utrzymywał za piecem w mojej klasie kolekcję rozmaitych różg, którymi karał dzieci „po łapie” i nie tylko po łapie, jeśli w jego ocenie ktoś na to zasługiwał. Na szczęście ja na taką „przyjemność” jeszcze nie zasługiwałem, chyba tylko dlatego, że przeszkodził temu wybuch wojny. Mówiono potem, nie bez przyczyny, że po wkroczeniu wojsk niemieckich Bigda podpisał listę volksdeutschów. A więc moja edukacja, która trwała dosyć krótko, została brutalnie przerwana, bo już 17 września obserwowaliśmy na pobliskiej drodze, tzw. murowance, wkraczające sowieckie czołgi kierujące się w stronę Skałatu i dalej do Tarnopola. Sowieccy czołgiści rzucali w naszą stronę pudełka zapalek („spiczki”) ale bez machorki, co miało znaczyć, że nie mają wobec nas wrogich zamiarów. Wnet sama rzeczywistość sprawiła, że ich zamiary zostały brutalnie zweryfikowane. Rozpoczęła się wielka akcja, którą nazywamy Gol-

gotą Wschodu. Na mocy paktu Ribbentrop – Mołotow, Sowieci szybko zajęli i okupowali teraz blisko 52 % obszaru II RP, na którym zamieszkiwało ponad 13 milionów obywateli Rzeczypospolitej. Armia Czerwona, ta „wyzwolicielka biednych i uciśnionych” dokonywała masowych rabunków mienia, aresztowań i zabójstw. Funkcjonariusze NKWD byli inicjatorami rozpraw z właścicielami majątków ziemskich i innymi „krwiopijcami”. Bolszewicka hołota uosabiała „słuszny gniew ludu”, polegający na zastraszaniu ludności, na sianiu lęków i obaw o nieznaną przyszłość. Bolszewicy ideolodzy uznali Polaków za przeciwników i wrogów państwa sowieckiego, za element niebezpieczny. Nie mogli zapomnieć roku 1920, kiedy to Polacy uniemożliwili im przeprowadzenie światowej rewolucji proletariackiej. Teraz zapłata, jaką przyszło nam Polakom zapłacić za ten nasz zwycięski akt sprzeciwu wobec naporu rewolucji bolszewickiej w 1920 roku, była cena straszna i niewyobrażalna.

„*Dziesiąty luty będziemy pamiętali*”. Są to słowa z „ballady zesłańców” anonimowego autora, która powstała w lutym i marcu 1940 roku jako świadectwo ekstremalnego doświadczenia doznanego przez wiele tysięcy Polaków, w tym również przez piszącego te wspomnienia. W tym roku (10 lutego 2011) będziemy obchodzić 71. rocznicę deportacji Polaków na Sybir, na „niehumanitarną ziemię”. 10 lutego 1940 roku o świcie na kresach wschodnich Rzeczypospolitej rozpoczęła się **pierwsza masowa wywózka** Polaków do sowieckich łagrów i obozów pracy. Wywózkę tę oficjalnie nazywano „przesiedleniem”. Była to ni mniej ni więcej tylko zemsta Stalina za rok 1920. Decyzję o deportacji wydała 5 grudnia 1939 roku Rada Komisarzy Ludowych (najwyższa sowiecka władza). Przez następne dwa miesiące trwały intensywne przygotowania do jej przeprowadzenia. W tym czasie sporządzano listy osób i rodzin, które uznano za element wrogi w stosunku do państwa sowieckiego i zakwalifikowano do pierwszej deportacji. Prowadzono również tzw. „rozeznanie terenu”, polegające na przydzielaniu obserwatorów i dozorców do poszczególnych instytucji, gospodarstw i majątków ziemskich. Przebieg wywózki nadzorowali osobiście generał Iwan Sielow i Wsiewołod Mierkułow – zastępcy Komisarza Ludowego

NKWD Ławientija Berii. Pierwsza deportacja objęła ponad 220 tys. ludzi, głównie niższych urzędników i pracowników państwowych, sędziów i prokuratorów, działaczy samorządowych, a także właściciele ziemskich i osadników wojskowych z całymi rodzinami, w nomenklaturze sowieckiej nazywanych „kułakami” i uznawanych, zgodnie z instrukcją NKWD w sprawie deportacji, za „element antysowiecki”. W kwietniu i czerwcu 1940 roku zorganizowano dwie następne deportacje. Objęły one rodziny osób uprzednio aresztowanych w miesiącu lutym tegoż roku, były to rodziny kupców i pracowników rolnych ze skonfiskowanych majątków ziemskich, zaś czerwcową deportacją objęła głównie uchodźców z centralnej i zachodniej Polski – tych ludzi, którzy uciekali przed Niemcami i znaleźli się za linią Bugu, na terenach okupowanych przez Związek Sowiecki zgodnie z hitlerowsko-sowieckim „układem o przyjaźni i granicy” zawartym przez obu agresorów w dniu 28 września 1939 roku. W czerwcu 1941 r. miała miejsce czwarta wielka deportacja. Objęła ona około 200 tys. osób, wśród nich resztę uciekinierów z zachodu Polski: inteligencję zawodową, wykwalifikowanych robotników, kolejarzy, zamożnych rolników. Wywożono również ludzi zamieszkałych na Wileńszczyźnie. Związek Sybiraków szacuje, że w sumie w wyniku czterech deportacji po 17 września 1939 r. Sowieci zesłali na „niehumanitarną ziemię” ponad milion Polaków, z czego zginął co trzeci wywieziony. Deportowanych wywożono do północnych rejonów ZSRR, w okolice Archangielska, do republiki Komi, w północne rejony wschodniego Uralu, w okolice Irkucka, Tobolska, Tomska, do północnego i południowego Kazachstanu, Krajów Krasnojarskiego i Ałtajskiego, na Kołymę i Kamczatkę.

10 lutego 1940 roku do polskich domów znajdujących się na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej wtargnęli stalinowscy funkcjonariusze NKWD z nakazem wysiedlenia wszystkich mieszkańców. Zabierano całe rodziny bez wyjątku, z małymi dziećmi, chorymi i starcami. Tak rozpoczął się dramat wielu polskich rodzin. Dziś dziesiąty luty 1940 roku należy do ważnej acz bolesnej daty w historii Polski. Jest to data symbol odnosząca się do całej Golgoty Wschodu, wywózek na „niehumanitarną ziemię” ponad miliona, według

innych źródeł około półtora miliona, naszych rodaków. Dla mojej rodziny groźnym znakiem ostrzegawczym było uprzednie aresztowanie mojego stryja wkrótce po wkroczeniu Sowieców. Mój stryj i mój imiennik Józef Wysoczański, podoficer artylerii, wielbiciel Marszałka Piłsudskiego, uczestnik walk o polski Lwów (1918 – 1919), brał udział w kampanii kijowskiej i w wojnie polsko-bolszewickiej. Zdemobilizowany w 1921 r. powrócił w rodzinne strony, gdzie w okresie międzywojennym jako osadnik wojskowy dorobił się dużego majątku ziemskiego, ale równocześnie angażował się w różne działania społeczne. Po aresztowaniu go spodziewaliśmy się najgorszego, mogło to również spotkać mojego ojca. Takich ludzi bolszewicy rozstrzeliwali bez jakiegokolwiek sądu, bo byli groźni dla komunistycznego systemu. Czy można sobie wyobrazić rozpacz i strach mojej stryjenki, będącej w zaawansowanej ciąży i z najmłodszym dwuletnim synkiem na rękach, płaczącą przed grupą umundurowanych enkawudystów – prześladowców, którzy 10 lutego wtargnęli do jej dworku w Toustym po to, by ją z całą 5-osobową rodziną z nieletnimi synami w wieku od dwóch do 12 lat, pod nieobecność aresztowanego męża, deportować do Republiki Komi?!

Do zakratowanych bydłych wagonów ładowano po 50 osób. W takim wagonie „ciepluszce” znajdowały się drewniane prycze po obu stronach wagonu, w środku żelazna beczka w charakterze piecyka, dziura w podłodze służąca za ubikację, zakratowane okna i zaryglowane drzwi. Podróż na miejsce zsyłki trwała ponad miesiąc. Warunki podczas transportu były przerażające, ludzie, zwłaszcza małe dzieci, umierali z głodu, zimna i wyczerpania.

O godzinie 4:00 rano 10 lutego 1940 r. moja wieloosobowa rodzina została niespodziewanie wyrwana ze snu brutalnym łomotem do drzwi domu i wrzaskiem „*ATKRYWAJ*” (otwierać). Mojemu ojcu i dwóm najstarszym braciom kazano ustawić się pod ścianą z podniesionymi rękami celem dokonania rewizji osobistej i poszukiwania broni. W ciągu dwóch godzin zmuszeni byliśmy do spakowania się i opuszczenia domu. Nieopodal domu przy ponad 20-stopniowym mrozie czekały już na nas zaprzęgi konne z saniami

do przetransportowania nas na stację kolejową w Skałacie. Mówiono nam kłamiwie, że za kilka dni wrócimy do naszego domu, kiedy skończą się działania wojenne. „*Nie trzeba nic zabierać, tylko odzież, pościel i trochę produktów żywnościowych, żeby wystarczyło nam na kilka dni*” - cynicznie nam doradzano. Na stacji kolejowej w trakcie załadunku do wagonów, mój ojciec w porozumieniu z moją mamą polecili jednemu z moich starszych braci, 15-letniemu Stanisławowi, by spróbował odłączyć się od transportu i uciekać do swojej babci mieszkającej w Kołodziejówce. Staszek wykorzystując chwilowe zamieszanie powstałe wokół transportu i nieuwagę wartowników zdołał oddalić się od reszty ludności stłoczonej przy stacji kolejowej i łapiąc jakąś „okazję” wykonał polecenie rodziców dotarcia do swojej babci. W ten sposób udało mu się uniknąć poniewierki Sybiru i przetrwać cało i zdrowo zawieruchę wojenną. Po wojnie szczęśliwie dołączył do swojej rodziny. Po miesięcznej pełnej rozmaitych upokorzeń „podróży” przywieziono nas i inne polskie rodziny do posesiółki KUSZWA, znajdującego się w północnym rejonie wschodniego Uralu w obwodzie Swierdłowskim, w rejonie Nowaja Lala. Osada Kuszwa, opustoszała w chwili naszego przyjazdu, była osadą pobudowaną przez poprzednich jak my zesłańców składających się z ludności Ukrainy przeciwnej stalinowskiej kolektywizacji, Kozaków dońskich czy kubańskich. Rozmieszczono nas w zbudowanych z belek chatkach i barakach, które rozlokowane były po obu stronach wyrębu leśnego znajdującego się na spadzistym stoku pustego terenu wyciętej tajgi. Dolna część stoku dochodziła do dosyć dużej rzeki o nazwie Łobwa, dopływu innej rzeki o niewinnej nazwie Lala, której wody poprzez rzekę Tura wpadają z kolei do rzeki TOBOŁ, dopływu potężnej syberyjskiej rzeki IRTYSZ. Górna część stoku tego wyrębu leśnego dochodziła do drogi przebiegającej przez bezkresną syberyjską tajgę. Nieopodal rzeki znajdowały się zabudowania i pomieszczenia przeznaczone dla funkcjonariuszy NKWD, czynowników miejscowej władzy i uzbrojonych strażników (*strielków*) posesiółki. Było też tzw. *raboczije obszczežitije* – coś w rodzaju hotelu robotniczego dla samotnych zesłańców – robotników pracujących przy *lesorubce* – wyrę-

bie drzewa. Czynna była szkoła podstawowa, w której nieco później rozpocząłem naukę.



Autor wspomnień (w środku) na spotkaniu z młodzieżą i studentami)

Wszyscy dorośli (również kobiety) musieli iść do pracy przy wycięciu lasu (*lesozagotowka i lesorubka*), a obrobione kłody trzeba było spławiać rzeką Łobwą. Podczas spławiania drzewa na rzece często tworzyły się zatory, przy usuwaniu tych zatorów zdarzało się, że robotnicy nie umiejący pływać topili się w nurtach rzeki. Warunki pracy i życia podobne były do tych, jakie panowały w łągach: ścisła kontrola władz, przymusowa praca, konieczność wyrobienia „normy”, od której zależała ilość przydziału chleba, zakaz oddalania się poza granice posesji. Ścisłe przestrzegano zasady: „*Kto nie robotajet, tot nie kuszajet*”. Na tym miała polegać istota komunizmu. Cały posesje, który oddalony był od najbliższej stacji

kolejowej ponad 50 km, znajdował się pod ścisłym nadzorem strażników. Codziennie rano przychodził nadzorca osady z rutynowym pytaniem: „*Kak familija, skolka dusz?*”. Na podstawie takiego „wywiadu” przydzielano chleb – dla dzieci 300 gr., a dla dorosłych 500 gr. dziennie, jeżeli wyrobili w pracy „normę”. Trzymano się niewolniczej zasady „*Czerez trud k oswoboźdieniju*”, co było kopią hitlerowskiego hasła „*Arbeit macht frei*”. Nic dziwnego, że obydwaj totalitaryzmy budowały swoją potęgę na pracy niewolniczej. Niejednokrotnie dawano dorosłym do zrozumienia w czasie pracy w tajdze, że nie mają co marzyć o powrocie do Polski. Mówiono wprost: „*Wam nada sawsiem zabyt' ob swajej rodinie, zdieś budietie rabotat' i zdieś padochnitie*” (Musicie na śmierć zapomnieć o swojej ojczyźnie, tu będziecie pracować i tu pozdychacie). Najtrudniejszy do przetrwania był okres zimowy, który na Sybirze trwa wyjątkowo długo. Dużo ludzi poumierało z głodu i wycieńczenia po katorżniczej pracy, Jak już wspomniałem wyżej, wiele mężczyzn potopiło się podczas rozładowywania zatorów powstałych ze spławianego rzeką drzewa.

Cdn.

Igor Megger
Poznań

XXXIII Koleżeński zjazd Tarnopolan 10-13.6.2019

W dniach 10-13 czerwca 2019 w miejscowości Góra św. Anny k. Opola odbył się już XXXIII koleżeński zjazd Tarnopolan oraz byłych mieszkańców woj. Tarnopolskiego i ich rodzin. Poznański

oddział na zjeździe reprezentowali dr. Janusz Furmaniuk oraz Igor Megger- obydwaj wywodzący się z Czortkowa nad Seretem.

Zjazdy Tarnopolan zainicjował Czesław Blicharski- człowiek legenda zwany „papieżem Tarnopola”. Lotnik dywizjonu 300, bibliofil, niekwestionowany autorytet dla Tarnopolan i mieszkańców tamtych ziem. Od lat 80, odbyło się już ponad 30 corocznych zjazdów w których uczestniczą nie tylko Tarnopolanie ale i mieszkańcy całego byłego województwa m.in. takich miast jak Czortków, Buczacz czy Trembowla. Zjazdy odbywają się co roku w innym, zawsze atrakcyjnym turystycznie miejscu : np. Wieliczka, Nysa, Krzeszów czy jak w 2018 roku Kraków. W tym roku w zjeździe uczestniczyło 58 osób a głównym organizatorem był oddział Opolski TML z p. Jolantą Kołodziejską z Opolskiego „klubu Tarnopolan” na czele.

Zjazd rozpoczął się 10 czerwca. Po przyjeździe do Opola z dworca kolejowego odebrał zgromadzonych mikrobusik który przewiózł nas do miejscowości Góra Św. Anny- miejsca świętego, sanktuarium położonego 40 kilometrów od Opola, miejsca słynnej bitwy w czasie III powstania śląskiego. Zakwaterowani zostaliśmy w Domu Pielgrzyma u stóp klasztoru. W I dniu zjazdu odbyła się prelekcja nt. Góry św. Anny i pobytu w niej naszego Ojca Świętego Jana Pawła II w 1983. Po prelekcji odbyły się luźnie „kresowych polaków tematy” do późnych godzin wieczornych.

II dzień zjazdu poświęcony był w całości na zwiedzanie miejscowości Góra Świętej Anny. U stóp tej miejscowości znajduje się największy kamienny amfiteatr w Polsce oraz pomnik upamiętniający powstańców śląskich dłuta Xawerego Dunikowskiego. Wzgórze na którym znajduje się bazylika otoczone jest kalwarią liczącą ponad 30 stacji- zbudowaną na ścisły wzór Kalwarii Zembrzydowskiej. Na lokalnym cmentarzu znajduje się płyta poświęcona Lwowskim kadetom którzy to zginęli w czasie walk o górę św. Anny- tablicę ufundował Opolski oddział TML. Po obiedzie odbyła się uroczysta msza w Bazylice pod wezwaniem św. Anny Samotrzeciej- której to relikwie oraz figurka z XV wieku znajdują się w niej. Msze koncelebrował ks. Andrzej Malig z Tarnopola.

Niestety z przyczyn niezależnych od organizatora zjazdu nie odbyło się zaplanowane na ten dzień spotkanie z Tomaszem Kubą Kozłowskim z Warszawskiego Domu Spotkań z Historią (tegorocznego laureata nagrody poznańskiego oddziału TML- „Semper Fidelis”). Miast tego ojciec przeor oprowadził uczestników zjazdu po ogrodzie klasztornym, po samym klasztorze oraz muzeum misyjnym. Po kolacji odbyło się spotkanie z gośćmi z Tarnopola połączone z wyświetleniem filmu o nim. Równocześnie odbyło się koleżeńskie spotkanie czortkowiec w którym wspomniano Czortków, wymieniano się posiadanymi informacjami oraz wspomniano ważne wydarzenia z historii tego drugiego po Tarnopolu miasta województwa takie jak: powstanie czortowskie, mord dominikanów czy udany zamach na szefa czortowskiego gestapo.

III dzień zjazdu przeznaczony był w całości na zwiedzanie Opola. Po porannej mszy w kaplicy domu Pielgrzyma i śniadaniu, uczestnicy zjazdu pojechali autokarem do Opola. Tam też zwiedzili muzeum Polskiej Piosenki, częściowo amfiteatr (gdyż właśnie trwały próby przed festiwalem) oraz katedrę. Po obiedzie w restauracji „radiowej” udaliśmy się do Urzędu Marszałkowskiego na część oficjalną, na której to wystąpiły dwa zespoły muzyczne (Opolskiego DPS oraz klubu garnizonowego), ogłoszono pogadankę o Wilnie, oraz wysłuchano wykładu jednego z najbardziej cenionych historyków kresów prof. Stanisława Sławomira Nicieji nt. Kut i Zaleszczyk. W części II „kularowej” można było zakupić jego książki, a także wypić kawę i zjeść „słodkie”. Po zakończeniu tego punktu zjazdu część osób (w tym nasi tj. przedstawiciele oddziału poznańskiego) udało się na dworzec i dalej do swoich miast, natomiast reszta osób wróciła do Domu Pielgrzyma na uroczystą kolację połączoną z występem „Tyligentnych Batiarów” z Bytomia.

IV dzień zjazdu był dniem wolnym tj. po śniadaniu i mszy świętej uczestnicy mieli czas wolny a po obiedzie o godzinie 12, ogłoszono zakończenie zjazdu, wyznaczono miejsce następnego, i odwieziono chętne osoby na pociąg do Opola.

W tym miejscu należy pogratulować Opolskiemu oddziałowi TML organizacji tego b. udanego i zaplanowanego zjazdu. Z relacji swoich i innych wiemy że wszyscy byli b. zadowoleni. Jednocześnie miło nam zakomunikować że nasza tj. poznańskiego oddziału TML działalność jest znana i doceniana w kraju. Jednocześnie przekazujemy naszym członkom braterskie pozdrowienia od oddziałów Krakowskiego, Opolskiego i Warszawskiego. Do zobaczenia za rok.



Pamiętkowa fotografia uczestników zjazdu wykonana u wejścia do miejsca zakwaterowania- „Domu Pielgrzyma”

Igor Megger
Poznań

Ksiądz Ludwik Peciak z Kołomyi „Sprawiedliwy” niesprawiedliwie zapomniany

Tytuł „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata” przyznaje żydowski instytut „Jad Waszem” tym osobom, które swoim działaniem ratowały Żydów, często narażając własne życie. Na 27 tysięcy osób wyróżnionych tym tytułem 7 tysięcy jest Polakami. Rocznie do Instytutu wpływa ok. 6 tysięcy wniosków z czego 20% procent jest odrzucanych. Jednym z takich przypadków jest sprawa księdza Ludwika Peciaka z Kołomyi.

Ksiądz Ludwik Peciak urodził się 13 sierpnia 1889 r. w miejscowości Rojówka na Podhalu. W 1912 r. wstąpił do seminarium duchownego we Lwowie, święcenia kapłańskie przyjął w lipcu 1918 r. w kościele w Tęgorozy, a od 1931 r. był w Kołomyi. Od 1933 dziekan kołomyjski i budowniczy kościoła pw. Chrystusa Króla. W okresie II RP odznaczony był Złotym Krzyżem Zasługi. W okresie okupacji niemieckiej pomagał ludności żydowskiej wystawiając fałszywe metryki chrztu. Nieznana jest ilość osób uratowanych przez księdza. Archiwum uległo zniszczeniu, świadków brak, a sam ksiądz zginął śmiercią męczeńską w obozie koncentracyjnym. Pomimo ostrzeżeń, jak każdy dobry pasterz nie pozostawił swych owiec. Został aresztowany 11 listopada 1942. Zdarzenie to opisał bratanek księdza, Jan Peciak- żołnierz podziemnej armii, który ukrywał się u swojego stryja.

„10 listopada do kuchni wchodzi Wielogorska Wanda przed wojną pracowała w szwalni wojskowej teraz jest sprzątaczką u Niemca z Berlina inżyniera Lercha Józefa przydzielony do gestapo z Kołomyi, mnie powiadomiła, że jest lista 120 Polaków do aresztowania w tym 6 kapłanów z Peciakiem Ludwikiem” Gdy Jan Peciak poinformował o tym stryja i nalegał, aby się ukrył, usłyszał:

„tu Arcybiskup mnie wprowadził, nie wolno opuszczać parafii, mam prawo dać głowę za swoje owieczki”. Następnego dnia został aresztowany.

Z więzienia w Kołomyi ks. Peciak został przewieziony do lwowskiego więzienia Brygidki, stamtąd do niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku. Jak ustaliła gazeta „Rzeczpospolita” przebywał tam do 31 marca 1943 r. Wtedy zapadła decyzja o przewiezieniu go do obozu koncentracyjnego Flossenburg. Z relacji Jana Peciaka wynika, że ksiądz zmarł w trakcie transportu 16 kwietnia 1943 r. Natomiast z akt obozowym, że zmarł tam w tzw. „bunkrze głodowym”.

Sprawę, by ks. Peciak otrzymał pośmiertnie tytuł „Sprawiedliwego” rozprzeła Pani Amalia Sandberg- Mesner. Obecnie 95-letnia mieszkanka Kanady jako młoda kobieta wraz z siostrą i kuzynką uciekły z getta w Kołomyi⁹. W akcji tej pomógł im Albin Thiel – Polak odznaczony tytułem „Sprawiedliwego”, który to przyjął trzy kobiety pod swój dach i udawał z nią rodzinę aż do końca wojny. Losy p. Mili opisane zostały w pozycji „Światło w mroku” z której przedruki ukazywały się m.in. na łamach „Głosów Podolan”. Albin Thiel zwrócił się do ks. Peciaka o wystawienie fałszywych metryk, co ten uczynił. Niewiadomo ilu innym osobom metryki ks. Peciak wystawił. Wiadomo, że jedna z nich wystawiona została na nazwisko Sinkiewicz Kazimierz w lipcu 1942.

W sprawie o nadanie tytułu odbyła się kwerenda akt parafialnych w Kołomyi, akta obozowe, zbiory IPN, w dużej mierze sprawą zajęła się „Rzeczpospolita” z red. Markiem Kozubalem- niestety brak dowodów. Pozostaje ostatnia szansa- pamięć kresowian. Obecnie (koniec 2019) instytut „Jad Waszem” wniosek odrzucił ale może zostać rozpatrzony ponownie- jeżeli będą nowe dowody. Redakcja „Głosów” przyłącza się do pomocy i także zwraca się do naszych krajan o pomoc, prosimy o zamieszczenie w miarę możliwości tego apelu w biuletynach oddziałowych czy na swoich stro-

⁹ P. Mesner pisze w swych wspomnieniach, że z siostrą i kuzynką uciekły z pociągu wiozącego je z Kołomyi do obozu zagłady w Bełżcu. Jej wspomnienia zamieszczamy od dłuższego czasu w naszym biuletynie „Głosy Podolan” (red.)

nach internetowych, szczególnie prosimy środowiska Kołomyjan o sięgnięcie do swych pamięci. Może ktoś pamięta księdza Peciaka z Kołomyi, Lwowa czy obozu na Majdanku. Może ktoś zna lub znał Sinkiewicza Kazimierza z Kołomyi.

Sprawę prowadzi p. Marek Kozubal dziennikarz „Rzeczpospolitej”
Tel. 22 463 05 31 lub na adres mejlowy m.kozubal@rp.pl

Ks. Peciak po dekoracji Złotym Krzyżem Zasługi



Ks. Peciak (ze stulą) w czasie splywu kajakowego w 1935 r.



Eugeniusz Świątkowski

Piosenka o Czortkowie
(Kraków-1943 rok)

Wiele miast ma piosenki swoje
Ma Warszawa, ma Kraków, ma Lwów
Czemu nie ma jaj mieć miasto moje
Ukochany nad życie Czortków!
Ta piosenka, ta jedna jedyna
W mniej wylewam tęsknotę swą świat
Gdzieś na Mickiewicza się ona zaczyna
Wspomnieniami przeżytych tam lat!

Refren:

Piosenka o Czortkowie
Dalekim i kochanym
O którym marze stale
I co noc widzę w snach
Piosenka o Czortkowie
Seretem opasanym
Ukrytym w cichym jarze
I białych zasnutyh mgłach

Jak chciałbym się przejść Mickiewicza
Od bazaru do Parku nad Ścianką
Stamtąd czarem się miasta zachwycać
I spoglądać na obie Wygnanki!
Potem błędzić po Czortkowie Starym
Albo w Zamku ruinach pomarzyć
Koło „Blimci” postać chwil parę
Z kolegami na „bantach” pogwarzyć

Refren:

Piosenka o Czortkowie.....